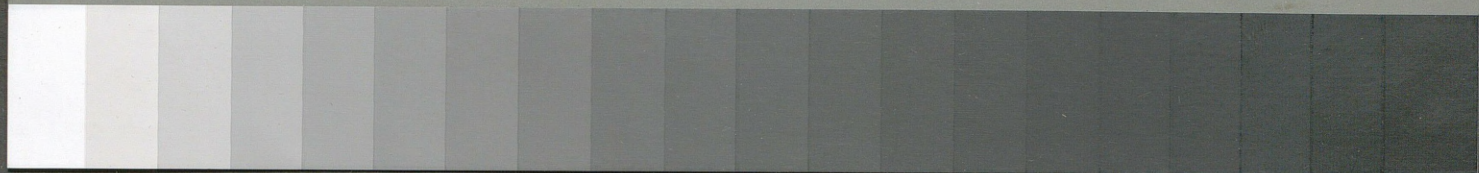




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19




W OBRONIE  
**POLSKOŚCI GÓRNEGO ŚLĄSKA**  
 REFERATY I SZKICE

LUDOMIRA  
 I INNYCH AUTOROW GÓRNOŚLĄSKICH

CZĘŚĆ PIERWSZA

CZYSTY ZYSK JEST PRZEZNACZONY NA CELE OŚWIATOWE



OPOLE 1918  
 NAKŁADEM TOW. OŚWIATY NA ŚLĄSKU  
 IMIENIA ŚWIĘTEGO JACKA

Cena 1 mk.



**W OBRONIE  
POLSKOŚCI GÓRNEGO ŚLĄSKA**

**REFERATY I SZKICE**

**LUDOMIRA**

**I INNYCH AUTORÓW GÓRNOŚLĄSKICH**

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**CZYSTY ZYSK JEST PRZEZNACZONY NA CELE OŚWIATOWE**



**OPOLE 1918**

**NAKŁADEM TOW. OŚWIATY NA ŚLĄSKU  
IMIENIA ŚWIĘTEGO JACKA**

**Cena 1 mk.**

## Co chce „Towarzystwo oświaty na Śląsku imienia św. Jacka”?

Celem „Towarzystwa oświaty na Śląsku imienia św. Jacka” jest:

Krzewić wśród ludu polskiego na Śląsku oświatę w najszerszym tego słowa znaczeniu na gruncie katolickim.

Służyć temu celowi mają książki religijne i ogólnopouczające jakoteż pismo peryodyczne „Głosy z nad Odry”. Oprócz tego towarzystwo zamierza działać przez wykłady i odczyty i chce popierać „Towarzystwo Czytelni Ludowych”. Uznając potęgę pieśni swojskiej i nią chce się posługiwać do wychowywania i uszlachetniania ludu polskiego.

Pozatem pragnie towarzystwo zbierać i przechowywać pamiątki i zabytki, starsze i nowsze, dotyczące historii, piśmiennictwa, sztuki i wogóle kultury ludności polskiej na Śląsku.

„Towarzystwo oświaty na Śląsku” zwraca się do wszystkich kół społeczeństwa o pomoc materyalną i czynną współpracę.

Członkiem nadzwyczajnym można już zostać przy rocznej składce 2 marek. Członkowie zwyczajni płacą 12 marek rocznie. Kto na raz złoży 100 marek, staje się członkiem honorowym, a kto 500 marek, członkiem założycielem i do złotej księgi się zapisuje.

Zgłoszenia na członka przyjmuje zarząd, do którego obecnie należą:

jako przewodniczący ks. A. Skowroński, proboszcz w Ligocie pod Białą (Ellguth bei Zülz),

jako sekretarz p. Edward Rybarz, redaktor w Bytomiu, Kurfürstenstr. 19,

jako skarbnik p. Franciszek Kurpierz, kierownik banku w Opolu, Hafenstr. 4.



L 18.

**W OBRONIE  
POLSKOŚCI GÓRNEGO ŚLĄSKA**

**REFERATY I SZKICE**

**LUDOMIRA  
I INNYCH AUTORÓW GÓRNOŚLĄSKICH**

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**CZYSTY ZYSK JEST PRZEZNACZONY NA CELE OŚWIATOWE**



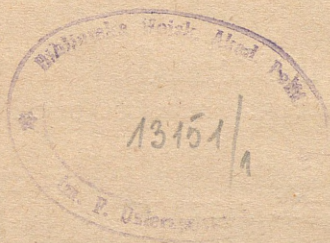
**OPOLE 1918**

**NAKŁADEM TOW. OŚWIATY NA ŚLĄSKU  
IMIENIA ŚWIĘTEGO JAKA**

*Jan Komski*

303.4 : 90(438)

.81 ch



*Handwritten signature or scribble*

## WSTĘP.

(Pisany w sierpniu 1917 r).

**W** obecnej wojnie światowej, która już 3 lata szaleje, walczą też najlepsze syny ludu górnośląskiego i szczególnie odznaczają się walecznością. Na polach bitew na wschodzie, zachodzie i południu strumieniami leje się krew górnośląska. Zamilknąć muszą teraz zarzuty i podejrzenia, jakoby polscy Górnoślązacy niepewnymi byli poddanymi, a ustać powinny też wstrętne podszczuwania do bezwzględnej germanizacji polskiego ludu na Górnym Śląsku. Górnoślązacy spełnili swój obowiązek i dali cesarzowi, co mu się należy nie szczędząc krwi i życia, niechaj też teraz i lud górnośląski otrzyma nareszcie, co mu się należy, niechaj nareszcie ustanie polityka narodowego wygłodzenia i wygładzenia a niech nastanie polityka sprawiedliwa, która daje »suum cuique« tj. każdemu co mu się należy!

Górnoślązacy domagają się przede wszystkim, aby w szkołach ludowych dla polskich dzieci zaprowadzono polską naukę religii a pozatem uwzględniono w odpowiedni sposób ich polski język ojczysty; bo jak niedawno pisał profesor Delbrück, żaden naród, który jest coś wart, nie może pogodzić się z wynarodowianiem swych dzieci przez szkołę publiczną. Te żądania nie są nowe, bo zawsze lud górnośląski protestował przeciwko wynarodowianiu a w petycyach i przez posłów swoich w sejmie i parlamencie wołał głośno o równoupra-

wnienie. A zanim dla braku uświadomienia sam umiał sformułować i wyrazić swoje słuszne życzenia, szlachetni Niemcy, jak zresztą i dzisiaj jeszcze, ujmowali się za nim, żądając dla niego sprawiedliwości. Dobrze będzie i na czasie, przypomnieć tu sobie obrońców języka polskiego na Górnym Śląsku, aby z jednej strony dzisiejsze pokolenie poznało dobrodziejów swoich z przeszłości a z drugiej strony krzykacze wszechniemieccy się przekonali, że żądanie polskiej szkoły dla polskich dzieci nie jest bynajmniej arogancją narodową i objawem radykalizmu niepoprawnego, ale prostym zastosowaniem hasła Hohenzollernów: »Suum cuique!«

## I.

### **Obrońcy Górnego Śląska polskiego za czasów pańszczyzny.**

Smutne było położenie Górnego Śląska, gdy w roku 1763 kraj ten ostatecznie dostał się pod panowanie pruskie. Lud ubogi i nędzny mało miał oświaty i po wielkiej części pijaństwu był oddany; pracował, ale nie dla siebie, tylko dla pana, który go często jak bydłę traktował. Pewien Anglik opisując w roku 1780 w »Deutsches Museum« (tom. 1. str. 217), podróż swoją po Górnym Śląsku, powiada: »Zadziwią się moi rodacy, że w europejskich krajach chrześcijańskich istnieją szlachcice, co nie mogą pojąć, dlaczego panu nie miało być wolno okładać kijem i biczem poddanych swoich, ile razy mu się podoba«. Cała bieda górnośląska owych czasów mieści się w jednym słowie »pańszczyzna«. Co ona dla przodków naszych znaczyła, wiernie nam opisuje Kaulfersch w dziełku swoim »Der gegenwärtige Zustand Oberschlesiens, juristisch, ökonomisch, pädagogisch und statistisch betrachtet«. (Drezno, 1786).

Znamienną już przedmowa, w której autor zapewnia, że wcale nie chcąc macić porządku albo podburzać, pragnie tylko górnośląskich posiadzicieli ziemi przekonać, że to nie po ludzku, nie życzyć poddanym ani potrzebnego wyżywienia ani pieniędzy na przyodziewek, i że, tak postępując, sami sobie szkodzą. Że na Górnym Śląsku pańszczyzna była o wiele cięższa niż gdzieindziej, dowodem na to fakt, że profesor Knapp, autor podstawowego dzieła »Die Bauernbefreiung« (Lipsk, 1887), chcąc jaskrawo ilustrować nieznośność stosunków przed uwłaszczeniem chłopów w Prusiech, zawsze z Górnego Śląska musi brać przykłady. A tak pozostało u nas właściwie aż do roku 1848. Aż do tego czasu też lud nasz ledwie się mógł wyżywić; o jakichbądź ideałach narodowych jeszcze mowy być nie mogło według starego przysłowia łacińskiego: *primum vivere, deinde philosophari* tj. najprzód żyć a potem dopiero mądrować.

Ale już w ten czas próbowano niemczyć polski lud górnośląski. Bo urzędnikom pruskim zdawało się, że język polski jest przeszkodą i hamulcem postępu i oświaty, że tylko nieznamość niemieckiego języka winna zacofaniu górnośląskiemu. Więc w latach 1764, 1766, 1769 sypały się poprostu rozporządzenia królewskie w celu zaprowadzenia niemczyzny w szkołach górnośląskich. Księżom pod karą pieniężną nakazano uczyć się po niemiecku, posiadzicielom dóbr nie wolno było przyjmować służby, która tego języka nie znała, i nikomu z poddanych swoich nie mieli pozwalać się żenić albo wyjść za żonę, jeżeli się przedtem nie wykazał, że umie po niemiecku. Od władzy duchownej we Wrocławiu w roku 1789 zażadano, aby nowo wyświęconych księży polskich z Górnego Śląska wysyłała do stron niemieckich, a za to na polski Górny Śląsk

posyłała niemieckich księży, aby tu germanizacyę rozszerzali. Ku wielkiemu oburzeniu regencyi, kurya wrocławska odmówiła tej przysługi. W tym samym czasie czaso-pisma niemieckie »Oberschlesische Monatschrift« i »Schlesische Provinzialblätter« rzuciły obelgi na lud górnośląski, że jest brzydki, głupi, rozpity, leniwy itd., a to wszystko stąd miało pochodzić, ponieważ jest polski.

Przeciwno takim bredniom zwraca się znakomita broszurka: »Der Oberschlesier, verteidigt gegen seine Widersacher« (Wrocław, 1791). Autor nie podpisał się, ale zdradził go profesor Schummel w opisie podróży swojej (str. 82); był nim pastor Pohle w Tarnowskich Górach, o którym Schummel powiada, że zupełnie władając językiem polskim, od trzydziestu lat obeznany nietylko z górnośląskim, ale też i polskim charakterem narodowym, jest rzeczywiście mężem, który nam o tych rzeczach więcej może powiedzieć, niż niejeden, co nas dotąd raczej patetycznymi deklamacyami o Górnym Śląsku bawił, zamiast służyć faktami. Piszę Pohle na wstępie: »Dotąd nas tylko łajali; odmawiali nam nietylko rozumu ludzkiego, ale nawet i postaci ludzkiej, uważali nas za ledwie pół-ludzi niewychowanych, pijaków, leniwców; opisali nas jako stworzenia z głęboko osadzonemi oczami, czołami zarosłemi, proponowali nam, dla poprawy naszej rasy brać sobie dziewczyny dolnośląskie. Ale nikomu jeszcze na myśl nie przyszło zbadać, czy to, co się o nas mówi, jest prawdą. Uroili sobie Górnoślązaka tak, jak sobie życzą, żeby był, aby go porządnie móżdż wyłajać; więcej o nas nie wiedzą, albo raczej co prawda, nie chcą wiedzieć, ani widzieć, ani słyszeć«. Wskazuje potem na pańszczyznę, jako na główną przyczynę i ubóstwa, i głupoty, i pijaństwa a szczególnie o mo-

wie górnośląskiej tak pisze: »Przychodzę teraz, kochani rodacy, do największej zbrodni waszej, a nią jest to, że mówicie po polsku, a ku temu źle po polsku. Któż to najgłośniej utrzymuje? Ci, co tego języka nie rozumieją, a więc też o nim sądzić nie mogą... Śmiesznem jest, gdy się czyta, że nam na Śląsku Dolnym, gdzie, jak wiadomo, prosty chłop bardzo marną gada niemieczyzną, robią zarzut, iż źle po polsku mówimy. Nie podlega żadnej wątpliwości, że Górnoślązak o wiele lepiej mówi po polsku, aniżeli Dolnoślązak po niemiecku. A dla czego nareszcie Górnoślązak nie miałby mówić po polsku? Czy polski język przeszkadza może nabyciu mądrości?« Podkreśla potem Pohle historyczne prawo języka polskiego na Śląsku, wskazując na starosłowiańskie nazwy miejscowości śląskich jak Głogów, Bolesław (Bunzlau), Wolawa, Jawór, Wrocław, Brzeg, i pyta na końcu: »Czyby z większą słusnością nie wypadało Dolnoślązakom zarzucić, iż się zniemczyli, aniżeli Górnoślązakom, że są Polakami?« Jako rezultat autor zestawia: »Nieprawda, że Górnoślązak jest głuptasem, nieprawda, że nie posiada zdolności, nieprawda, że jest niedołążny. A jeżeli go już trzeba ganić, to żadną miarą nie zasługuje więcej na nagane, niż sąsiad jego«. Tylko trzeba lepiej się z nim obchodzić; bo »dotąd w przypuszczeniu, że jest bydlęciem, traktowano go też jak bydlę«.

W tym samym roku 1791 wrocławski nauczyciel profesor Schummel, także protestant, wystąpił w obronie polskich Górnoślązaków. Wydał książkę »Schummel's Reise durch Schlesien im Julius und August 1791«, w której podróż swoją po Śląsku opisuje. Czytając na hucie w Tarnowskich Górach w albumie znany wiersz

Goethego: »Fern von gebildeten Menschen am Ende des Reiches, wer hilft euch, Schätze finden und sie glücklich bringen aus Licht?« postanowił badać stosunki Górnego Śląska i napisać osobną rozprawę o tej dzielnicy okrzyczanej. Schummel sam po polsku nie umiał; ale swoje spostrzeżenia uzupełniał korespondencyjami przyjaciół żyjących długie lata na Górnym Śląsku. Znał też pastora Pohle'go i broszurę jego. Tak więc powstała jego apologia Górnego Śląska, obejmująca 78 stronic na końcu jego opisu podróży. Jak Pohle, tak i Schummel uważa za główne nieszczęście Górnoślązaków pańszczyznę, którą trafnie nazywa »Sultanismus über die Untertanen«. Stąd tłumaczy wszystko, co się temu ludowi zarzuca; o pijaństwie na przykład tak się wyraża: »Chłop górnośląski, który nie może drukiem ogłosić położenia swego, który jednak, gdyby to mógł uczynić, u każdej ludzkiej duszy znalazłby współczucie i miłosierdzie, chwyta za kieliszek, aby w nim utopić pamięć o wszystkim, co go ciśnie i przygniata. Kto dlatego chce kamieniem nań rzucić, niech to czyni; ja nie mogę« (str. 354). Pewien korespondent, rodowity Górnoślązak, pisał autorowi: »Kto chce poznać i osądzić dobre strony Górnoślązaków, koniecznie w polskim ich języku macierzyńskim musi się z nimi rozmówić i tak przez jakiś czas robić swoje postrzeżenia«. Sam Schummel chętnie przyznaje, że polski język ma właściwie na Śląsku więcej prawa niż niemiecki, i przestrzega: »Nie zaczynajmyż żadnego procesu z polskimi Ślązaka-mi! bo przed trybunałem historyi przegramy go we wszystkich instancjach (str. 327).

\* \* \*

Pańszczyzna jak zmora gniotła lud górnośląski udaremniając wszelkie wysiłki do poprawy jego bytu. Przeciwno niej też coraz częściej meżowie

szlachetni występowali. Przedewszystkiem wymie-  
nić tu trzeba książeczkę: »Ueber den oberschlesi-  
schen Landmann, als Menschen, Christen und Bür-  
ger betrachtet, und die schicklichsten Mittel, wo-  
durch er zum besseren Menschen, Christen und  
Bürger gemacht werden könne. Allen wahrhaftig  
edeldenkenden Männern Oberschlesiens gewidmet  
von Johann Samuel Richter, Pastor der  
reformirten Gemeinde zu Anhalt und Pless. 1797.«  
Richter urodził się 6-go czerwca 1764 w Friedrichs-  
tabor pod Sycowem, gdzie ojciec jego był predy-  
kantem. Skończywszy gimnazjum we Wrocławiu,  
w latach 1783—1786 studyował we Frankfurcie teo-  
logię protestancką i potem przez cztery lata był  
nauczycielem domowym w Warszawie. Następnie  
został kaznodzieją nadwornym księcia v. Koethen,  
który mu w roku 1795 powierzył probostwo w Hol-  
dunowie w powiecie pszczyńskim. Po założeniu  
regencyi opolskiej w roku 1816 powołano go do  
Opola jako radcę konsystoryalnego, który to urząd  
piastował aż do roku 1838. — Czytać wywody Rich-  
tera i dzisiaj jeszcze jest rozkoszą dla każdego Gór-  
noślązaka. Jak prorok podnosi swój głos i w imię  
miłości chrześcijańskiej wzywa wszystkich szlache-  
tnych mężów na Górnym Śląsku do reformy. Na  
pierwszem miejscu zaleca lepsze wychowanie lu-  
du. »Ale czy też chłop górnośląski  
jak każdy inny człowiek jest zdolny  
do wyższej kultury? Przecież tak bardzo  
okrzykiwano go dotąd, że głupi i tępy«. Lecz Rich-  
ter zapewnia: »Nie tylko zdolny jest, ale na seryo  
twierdzą, że na sto jednostek tego ludu zawsze  
jeszcze dwadzieścia ludzi więcej znajdziesz odzna-  
czających się przyrodzonemi zaletami ciała i duszy,  
a więc zdolnych do rychlejszego pojęcia i wyzy-  
skania rozumnej nauki, aniżeli pomiędzy innymi  
chłopami« (str. 19). Co Richter dalej pisze o języ-  
ku ojczystym w szkole i kościele, jest tak trafne

i rozsądne, że nigdy wartości swojej nie straci. Oto jego zdanie: »Kto chce kształcić narody na niskim jeszcze stopniu kultury stojące, musi jak u dzieci do najpierwszych pojęć ich się zniżyć i aby się z nimi mózdz porozumieć, koniecznie ich języka musi się nauczyć. Aby więc oświecić Górnosiążaków, trzeba się po polsku nauczyć, chcąc być ich nauczycielem. Niechajże się nie wierzy, że ich mowa tak szkaradna, jak ludzie do niemieckich tylko dźwięków przywykli tak często ją okrzykują!... W nieistotnych tylko rzeczach różni się od języka czysto polskiego... Najpierw więc, aby się stać pożytecznym dla chłopca górnośląskiego, trzeba mu dać nauczycieli, którzy zupełnie władają językiem polskim... Jest koniecznością nieodzowną, aby ci, co w przyszłości mają być ustanowieni za nauczycieli w kościołach i szkołach górnośląskich, gruntownie nauczyli się polskiego języka. Polski chłop do takiego meża, który się zupełnie z nim porozumieć może, większego nabiera zaufania a nauczyciel wskutek biegłości w polskim języku uczniom swoim niejednej dobrej rady i zbawiennej przestrogi udzielić może, które dla ogółu najlepsze mogą mieć skutki«. — A szczególnie do księży Richter tak się odzywa: »Znam niejednego, co przy wyteżonej pilności ewentualnie umie przetłómaczyć niemieckie kazanie na niemiecko-polskie i wygłosić je tak słuchaczom swoim; ale gdy się ma z nimi rozmówić, to nie potrafi. Jak niewymównie dużo traci przytem jego uczeń! Gdzież jest upominanie w konfesyjale zwyczajnie większe wrażenie sprawiające niż kazanie, albo przygotowanie do wieczerzy Pańskiej, gdzie czasem każda jednostka, i to słusznie, inaczej chce być traktowana! Gdzież pociecha na łożu boleści, do czego znowu trzeba biegłości nietylko w znajomości rzeczy ale też w znajomości języka, aby we-

dług możliwości wszelkim obawom przeciwdziałać i gruntownie rozproszyć wszystkie wątpliwości! Jak mało będzie tu pożytku, jeżeli nauczyciel przy każdym zdaniu dla braku znajomości języka się jąka i z człowiekiem i tak wycieńczonym i osłabionym tylko nawpół może się porozumieć!« (str. 26 n.) Te uwagi i dzisiaj są na czasie; bo i dzisiaj jeszcze spotyka się na Górnym Śląsku, pożałuj Boże, kapłanów, którzy nasz piękny język w straszny sposób koszlawią, zuchwale nadużywając clerpliwości i dobroduszości ludu.

Niemniej słusznym i zdrowym jest pogląd Richtera na szkołę górnośląską i jej zadanie. I ona musi, jeżeli chce być ludowi pożyteczną, w szerokiej mierze uwzględnić język ojczysty. »Jak może nauczyciel uczniom swoim wpoić jaśniejsze pojęcia o Bogu, o ich przeznaczeniu i obowiązkach, jeżeli nie włada dostatecznie ich językiem, aby się aż do najpierwotniejszych pojęć działwy zniżyć. Ile razy bowiem będzie musiał jedno i to same pojęcie oznaczyć wyrazami blisko - znacznymi, chcąc się stać dla dzieci zrozumiałym. Języka katechizmowego dzieci chłopskie zwyczajnie nie rozumieją, a marną jest nauka, mało rozum oświeca i serce uszlachetnia, gdy się z gnuśnej wygody starym trybem tylko na pamięć uczy i bezmyślnie klepie pytania i odpowiedzi. Na drugi dzień zwyczajnie wszystko zapomniane; bo dzieci tylko słowa, dla nich próżne dźwięki, pamięciowo sobie przyswoiły, lecz nie poznały rozumem pojęć tem oznaczonych«. Słowem: »Jeżeli chłop ma być lepiej wykształconym, musi być lepiej wychowanym; jeżeli ma się lepiej wychować, musi dostać polskich nauczycieli: a jeżeli ci mają mu być prawdziwie pożyteczni, od młodości muszą się uczyć tego języka«. Dlatego Richter dla seminaryów domaga się polskich, a to prawdziwie polskich nauczycieli, żeby tam tego ję-

zyka porządnie i pilnie, a nie tylko jak dotąd pobocznie się uczono. Na końcu autor otwarcie wypowiada swoje przekonanie, że »dopóki projektu jego się nie urzeczywistni, dopóki nie ustanowi się innych nauczycieli, dopóki nikt nie dostanie na Górnym Śląsku urzędu duchownego, co nie jest skończonym Polakiem, dopóki nie będzie się baczyło na to, aby młodzież rzeczywiście według przepisu nauczano — dopóty ani mowy być nie może o prawdziwym uszlachetnieniu wieśniaka górnośląskiego« (str. 32).

Pamiętka tych zacnych mężów powinna na zawsze być błogosławioną na Górnym Śląsku za tak sprawiedliwe i odważne bronienie naszego polskiego języka ojczystego. A wówczas w szkołach uczono u nas jeszcze po polsku, tylko że nauczyciele kiepsko po polsku mówili. Coby dziś powiedzieli, widząc język polski zupełnie ze szkoły wyługowany!

## II.

### Po założeniu regencyi w Opolu (1816.)

Niemcy od dawna narzeczę górnośląskie pogardliwie nazywają »wasserpolnisch«. Już w roku 1705 Christian Meisner, ogłaszając we Wittenberdze rozprawę o językach śląskich »Dissertatio Silesiam loquentem exhibens« powiada o mowie górnośląskiej: vulgo haec dialectus aquatico-polonica vocatur. Najprawdopodobniej tę nazwę tłómaczy się flisakami, którzy na swych tratwach z budką słomianą na nocleg i ogniskiem prymitywnem na garnek wodzianki, przejeżdżając przez Wrocław i inne miasta niemieckie, wytworzyli tam obraz i pojęcie półdzikich Ślązaków na wodzie; byli to »Wasserpolen« a ich mowa »wasserpolnisch«. — O tej słowiańszczyźnie śląskiej Koehler w swojej »Schle-

sische Kern - Chronicke« (1710—14) zauważa, że o wiele trudniej i twardziej się wymawia aniżeli niemczyzna; rozumie się to u Niemca, co po polsku nie umiał i próbując wymówić kilka trudniejszych wyrazów polskich, łamał sobie język. — Właściwej nienawiści do języka polskiego na Śląsku za czasów austriackich nie było; bo wielkiej monarchii, składającej się z tylu narodów o różnych językach, z pewnością było obojętnie, jak kto na Śląsku mówił. Odkąd jednak Śląsk w roku 1763 stał się ostatecznie pruską prowincją, zaczęto konsekwentnie pracować nad rozszerzaniem tu niemczyzny. Urzędnicy pruscy, przyzwyczajeni dotąd jedynie do niemieckich poddanych, naraz spotykali się u nas z setkami tysięcy ludności, która ani słówka po niemiecku nie rozumiała. Ta zupełna nieznaomość niemieckiego języka mocno i niemile ich uderzała i zdawało im się, że to straszne zacofanie i brak wszelkiej kultury. Oczywiście polski język Ślązaków, którego nie znali, utrudniał im rzady i był im niewygodny; stąd powstało uprzedzenie, że ten język wogóle jest przeszkodą i hamulcem postępu i oświaty. Jak głęboko ten przesąd w głowach niemieckich się zagnieździł i jak uporczywie się go trzymano, odsłaniają nam późniejsze rozprawy o wartości polskiej mowy na Górnym Śląsku.

Aby uzasadnić zaniechanie języka polskiego w szkołach górnośląskich, twierdzono, wiercono i powtarzano aż do najnowszych czasów, że mowa górnośląska jest zepsutą gwara, która żadnej nie ma piękności ni wartości, a którą najlepiej wygubić do szczętnie. Kto atoli znał język polski i górnośląskie narzeczce jego, jak pastor Pohle w Tarnowskich Górach, albo korespondenci profesora Schummel'a, albo pastor Richter w Hołdunowie, zupełnie inaczej go oceniał. Ci wszyscy wiedzieli, że gwara górnośląska mniej się różni od języka czysto polskiego,

aniżeli narzeczka niemieckie od literackiej niemczyzny. To samo stwierdził zasłużony historyk i gramatyk polski Jerzy Samuel Bandtkie, który był we Wrocławiu nauczycielem gimnazjalnym, zanim go w roku 1811 powołano do Krakowa jako bibliotekarza przy Akademii Jagiellońskiej. W roku 1802 wydał swoje »Historisch - Kritische Analecten«, gdzie znajduje się osobna rozprawka »Ueber die polnische Sprache in Schlesien«. Umyślnie dla studyów językowych podróżował po Śląsku i chociaż pochodził z Lublina, jednak wszędzie łatwo mógł się z prostym ludem porozumieć; doszedł przytem do przekonania, że »polski Ślązak nie przekręca więcej polskiego języka piśmiennego, niż niemiecki Ślązak język niemiecki.« Ale Niemcy dalej powtarzali swoje, a w roku 1809 w »Mithridates oder allgemeine Sprachenkunde« jakiegoś Adelunga znów można było czytać, że w Opolu i w Raciborzku zepsuta mówią polszczyzną, którą Polak tylko z trudnością rozumie.

W roku 1816 założono w Opolu osobną regencyę dla Śląska Górnego, która od samego początku pracowała nad niemieczeniem tej prastarej dzielnicy polskiej. Jakiego ducha i usposobienia byli urzędnicy opolscy, zdradził nam protestancki radca regencyjny Benda, który po trzyletnim pobycie na Górnym Śląsku uważał się już za nadzwyczajnego znawcę tutejszych stosunków i w r. 1819 napisał dla »Correspondenz der Schles. Ges. für vaterl. Cultur« rozprawę »Betrachtung Oberschlesiens«. Tam o Górnym Śląsku i języku jego takie czyta się zdania: »Lud, o którym tu mówię, należy do niemieckiego monarchy, podlega niemieckim prawom; wszakże nie zna on ani swych panujących, ani języka swych praw. Stroni od urzędników państwowych, którzy bardzo mało, albo wcale nań nie mają wpływu; kierują nim jedynie przez postrach, nie zaś przez miłość i zaufanie.

Lud ten nie ma nic wspólnego, oprócz nazwiska, z właściwymi Polakami, gdyż nawet nie mówi językiem polskim, lecz jakąś mieszaniną czesko-morawsko-polsko-niemiecką, której trudnoby szukać w jakimkolwiek języku piśmiennym. To prawdziwe nieszczęście da się, według mego zdania, jedynie tylko przez to usunąć, jeżeli język ten zostanie, jak można najrychlej wytepiiony przez nauczanie młodzieży w języku niemieckim. Nic na ten świat nie straci, nie straci żadnej świętości; gdyż ten tylko język zasługuje na tę nazwę, który posiada literaturę, lub przynajmniej zawiera w sobie pierwiastki, po których możnaby się spodziewać rozwoju literatury. Żeby tego można było się spodziewać po mowie wasserpolaków, nie słyszałem, aby utrzymywali nawet najzagorzalsi obrońcy tego języka«. — Germanizacya Górnego Śląska zdaniem Bendy szybko się dokona. »Zaprawdę! nie potrzeba będzie na to nawet pół wieku, aby w prowincyi niemieckiej wytepić żywioł polski do szczytu«. »Język niemiecki otwiera dla ludu polskiego, nie umiejącego dotychczas po niemiecku, wrota cywilizacyi niemieckiej. Wykształcić lud śląski na polskich narodowców nie może być zamiarem rządu, ani też życzeniem Ślązaka. Do języka swych współobywateli wasserpolak, dotychczas tak zaniedbany, posiada niezaprzeczone prawo, jakkolwiek nie rozumie on może jeszcze korzyści, które mu ten język zapewnić może. Wobec tak oczywistej konieczności powinien wykład w języku polskim według mego zdania całkiem być usunięty, skoro tylko dzieci otrzymają pierwsze zasadnicze pojęcia w nauce, a nawet podczas ich rozwoju powinno przeważać dążenie ku niemieckiemu językowi.«

Nie wdając się wcale w ocenę głoszonej tu zasady »cujus regio, ejus natio« tj. czyj kraj, tego też narodowość, która niemniej dręczy i krępuje sumienie jak przestarzała już dziś inna »cuius regio, eius

religio«, czyj kraj, tego wiara, stwierdzamy tylko mimochodem, że Benda fałszywym był prorokiem. Odmawiał mowie górnośląskiej wszelkich pierwiastków, po których możnaby się spodziewać rozwoju jakiejś literatury, a właśnie wtedy, może nawet z oburzenia na butę i chępliwość narodową Bendy, zaczynał pisać Józef Lompa, kładąc podłoże dla piśmiennictwa górnośląskiego, które dzisiaj Ligoniami, Damrothami i Bączkami poszczycić się może. Przepowiadał Benda, że nie potrzeba będzie nawet ani pół wieku, aby żywioł polski na Śląsku wytepić do szczytu, a otóż po upływie całego stulecia Górny Śląsk ciągle jeszcze polski. Wielu coprawda się zniemczyło, ale ogromna większość nietylko mówi, lecz i czuje po polsku, a im więcej narodowo się uświadomi, tem serdeczniej przeciwko hakatystom do Boga modlić się będzie słowami psalmisty: Niech nie mówią w sercach swoich: ehej, ehej duszy naszej, i niech nie mówią: pożarliśmy go! Niechaj będą zawstydzeni i pohańbieni społem ci, którzy się weselą ze złego mojego; niechaj będą obleczeni w hańbę i w sromotę ci, którzy wielkie rzeczy mówią przeciwko mnie! (Ps. 34, 25. 26).

Poniekąd odpowiedzia na wywody Bendy były »Wiadomości o języku polskim w Śląsku i o polskich Ślązakach«, które krakowski profesor Bandtkie w roku 1821 w »Mrówce« poznańskiej ogłosił. Autor podaje ówczesne granice językowe i ocenę narzecza polskiego na Śląsku, o którym trzy lata później w dziele swoim »Polnische Grammatik für Deutsche« jeszcze raz podkreśla, że »i prowincjonalna mowa polskich Górno- i Dolnoślązaków ma swoją wielką wartość a wszyscy ci nie mają słuszności, co nią pogardzają. Z niej i najlepszy Polak może się nauczyć wiele doskonałych starych wyrażen«.

Ciekawy też jest sąd o Górnym Śląsku poety,

historyka i publicysty polskiego Juliana Ursyna Niemcewicza, który w roku 1821 odbył podróż po naszym kraju i wrażenie swoje tak opisuje: »Mały strumyk, zimne wody zwany, od niepamiętnych czasów dzielił Polskę od Śląska; póki dobra wiara mieszkała na ziemi, dosyć było strumienia tego; później najpotężniejsze twierdze przeciw pysze i chciwości dostateczną nie były warownią. Gdyby nie mały przykomorek, pięć utkwionych w ziemię dzid i kilku kozaków, którym paszport mój do podpisania dawać musiałem, nie byłbym wiedział, że granica. Wszystko na drugiej stronie takie jak u nas; taż sama mowa, strój, obyczaje, położenie kraju, wszystko świadczy, że Polska i Śląsk jednym narodem, jedną były krainą. Mimo przez tyle wieków trwających usiłowań Niemców, została mowa polska, szczególnie w pospółstwie, taką, jaką była za Piastów (tu wskazuje autor na dziełko Bandtkiego »Wiadomości o języku polskim na Śląsku i o polskich Ślązakach«). I któż ją utrzymał? Nie szlachta zapewne, tak łatwo przekształcająca się gwoli rozkazom i wzorom tych, od których łaski spływają, nie niższa pleć nawet męska, wędrująca, służąca w wojsku, ucząca się rzemiosł u obcych, utrzymała ją, lecz pleć żeńska, przeznaczona żyć na tych zagrodach domowych, na których pradziadowie jej żyli, chwalać Boga w tych modlitwach, w tych pieśniach, w których go oni od tylu wieków chwalili, przy pieśniach w tym języku kołysząca niemowlęta swoje, w tej mowie udzielająca im pierwszych pieszczot i tkliwych serc macierzyńskich uczuć. Tak jest, narody poniżone, zawojowane, winny są jedynie kobietom, że z niepodległością swoją nie straciły i tej jedynej, różniącej naród od narodu cechy, tj. mowy ojczystej. Zachował ją lud śląski zupełnie przynajmniej po prawym brzegu Odry; w miastach atoli przemaga już język niemiecki i wiara luterańska«.

Najboleśniej może dotknęły wywody Bendy szlacheckiego Richtera, radcę konsystoryjalnego w Opolu. Aby osłabić ich wpływ szkodliwy, przesłał na ręce ówczesnego ministra oświaty von Altensteina, dnia 21 stycznia 1821 rozprawę: »Abhandlung über die Art und Weise, wie geistige und sittliche Bildung in Elementar- und Landschulen überhaupt, und wie sie insbesondere im polnischen Oberschlesien der Jugend beigebracht werden könne«. Krok ten tak usprawiedliwia: »Żyjąc w prowincyi, która oddawna dla niskiego poziomu kultury szczególnie niedobłą cieszyła się sławą, i ponieważ w przeszłym i obecnym zawodzie moim jako przełożony kościołów i szkół nie tylko dosyć nabierałem doświadczeń, ale, władając językiem polskim, dokładnie też mogłem poznać mieszkańców, czuję się powołanym do udzielenia moich myśli w ważnym tym przedmiocie«. W pierwszej ogólnej części przestrzega przed obarczaniem szkół ludowych naukami niepotrzebnymi, lecz największy nacisk kładzie na wykształcenie religijne, »bez którego człowiek jest najniebezpieczniejszem zwierzęciem na ziemi«. W drugiej części rozwodzi się o szczególnie górnośląskich stosunkach. Z góry oświadcza się przeciwko rugowaniu języka polskiego; przypomina ministrowi, jak słusznie Niemcy się żalili na Napoleona, gdy w prowincjach nadreńskich wszędzie francuzki język zaprowadzał, wyciskając niemiecki, i dodaje: «a jednak to samo czynimy na polskim Górnym Śląsku». »Co prawda większość uniewinnia bezwzględność swoją twierdzeniem, że surowość Górnoślązaków głównie od mowy ich zależy i od niemożliwości udzielania im porządnej nauki. Jest to nietylko cichem mniemaniem wielu nie znających wcale ludu i mowy, ale niestety niedawno temu nawet drukiem publicznie było głoszone. Lecz ci, którzy bez znajomości narzeczają górnośląskiego

oświadczają je za surowe, monotonne i niezdatne do języka wykładowego, podobni są do ślepego, co o kolorach rozprawia. Za dowód przytaczają niski stopień kultury Górnoszlazaków i przypisują go jedynie ich mowie. Tymczasem kto wie, jak smutne było obywatelskie położenie polskich Górnoszlazaków, jak nieurodzajna piaszczysta ich ziemia, jak surowy ich klimat i jak trudny i mało wdzięczny odbył ich plonów, ten z pewnością przyczynę niskiego stopnia ich kultury w czem innem szukać będzie, a nie w ich mowie... Jeżeli dotąd byli leniwi, uparci i nieufni, to niestety jest to skutkiem smutnych ich stosunków obywatelskich. Człowiek, co dawniej nie posiadał własności ni wolności, co jako »glebae adscriptus« tj. do gleby przykuty ani majątkiem ani sobą lub rodziną swoją nie mógł dysponować, co dowolnie z dobrego gospodarstwa na puste miejsce mógł być przeniesiony, albo wiedział od przodków swoich, że teraz o wiele więcej musi pracować aniżeli pierwotnie na dworze jego było obowiązkiem — niepodobno przecież, żeby ten mógł być dostępnym dla wyższych ludzkich radości. Nieufność zapełnia serce jego do wszystkich, co mu rozkazują, a ponuro dumając nad smętnym losem swoim utapia wreszcie świadomość swoją w napojach odurzających. Skoro te pożałowania godne stosunki u wszystkich Górnoszlazaków ustaną, skoro lepsze czasy pozwolą im odczuć szczęście wolności i swobodnego używania majątku, skoro w przyszłości z równą pilnością jak od roku 1816 będzie się starało o wykształcenie młodzieży, w ten czas pocieszające rezultaty pokażą się i w takich szkołach, gdzie po polsku się wykładac. W dalszym ciągu Rich-ter wskazuje na to, że polskie dziecko górnośląskie od rodziców uczy się o wiele czystiej języka ojczystego niż niemieckie, co znacznie ułatwia naukę w szko-

łach polskich. Proponuje więc ministrowi uczyć, wprowadzić języka niemieckiego, lecz nie nalegać, aby dzieci takiej nabyły w nim biegłości, żeby się mógł stać językiem wykładowym. Bo w takim razie polskie dzieci górnośląskie zbyt dużo czasu traciłyby na lekcjach niemieckich, którego pilniej potrzebują na inne nauki. Zaprowadzanie niemieckiego wykładu u polskich dzieci nazywa Richter uprzedzeniem niemieckiem. O zupełnem zniemczeniu przez to Górnego Śląska ani mowy nie będzie; nie zapomnieli Alzacycy pod panowaniem francuzkiem po niemiecku, ani Wendowie pod saskim rządem po wendyjsku, ani Litwini pod Prusakami po litewsku, tak też nikt nie będzie mógł zmusić Górnoszlązaka, aby o swoim języku ojczystym zapomniał. Na końcu Richter swoje wywody oddaje pod sąd namiestnika poznańskiego księcia Radziwiłła.

Rzeczywiście von Altenstein całą rozprawę przesłał księciu Radziwiłłowi, który zupełnie stanął po stronie Richtera. Dnia 8 września 1822 otrzymał radca opolski od ministra odpowiedź, że w gruncie rzecz godzi się na jego żądanie, nie uważając za potrzebne rugować język prowincjonalny; — ale równocześnie podkreśla, że wszędzie trzeba zaprowadzać język niemiecki jako przedmiot nauki i dążyć do tego, aby każdy poddany państwa mógł się porozumieć w języku rządowym.

Co tu minister prywatnie przyznał Richterowi, potwierdził dnia 23 grudnia 1822 urzędowo rozporządzeniem do regencyi poznańskiej. Ponieważ ten dokument stanowi najdosadniejszą krytykę teraźniejszej polityki rządu pruskiego wobec nas, przytaczamy tu najważniejsze ustępy w dosłownem tłumaczeniu: »Co się tyczy kwestyi rozszerzania języka niemieckiego, to chodzi przedewszystkiem o to, by

uświadomić sobie dokładnie, czego się w tym kierunku osiągnąć pragnie i osiągnąć powinno, mianowicie, czy należy dążyć do tego, by polscy poddani tamtejszej prowincyi język niemiecki ogólnie rozumieli, albo czy też pragnie się cały naród wprowadzić stopniowo i nieznacznie, ale mimo to tak zupełnie, jak to jest tylko możliwem, zgermanizować. Według przekonania ministerstwa jest tylko pierwsza ewentualność potrzebną i wykonalną, druga natomiast jest niewykonalną i nie do polecenia. A żeby Polacy mogli być zupełnie dobrymi poddanymi i mogli brać udział w korzyściach instytucyi państwowych, jest pożądanem i potrzebnem, by rozumieli język krajowy i rządowy i mogli się w nim porozumiewać. Natomiast nie jest potrzebnem by w tym celu musieli wyrzec się swego języka ojczystego, ani też by musieli język swój upośledzać«...

»Religia i język są największymi świętościami narodu, na nich polega cały jego sposób myślenia i pojmowania. Zwierzchność uznająca, szanująca i kochająca te świętości, może być pewną, iż zdobędzie sobie serca poddanych. Natomiast zwierzchność, któraby okazała wobec tych skarbów narodowych obojętność albo co więcej je naruszała, oburza i bezcześci naród i stwarza sobie niewiernych lub złych poddanych. Ktoby jednak sądził, iż wykształcenie narodu polskiego bardzo by znacznie się podniosło, gdyby go przynajmniej co do języka zgermanizowano, ten błądzi ciężko. Wykształcenie jednostki i całego narodu może się opierać tylko o język ojczysty... Zabierać komuś jego język ojczysty a tem samem cały jego sposób myślenia, a natomiast narzucać mu sztucznie inny obcy język, byłoby już

u jednostki zupełnie fałszywą drogą oświecenia, tem więcej zaś u całego narodu, chociażby nawet naród ten nie posiadał języka tak bogatego, odrębnego, wyrobionego i gramatycznie wydoskonalonego, jakim jest język polski. Kto chce rzeczywiście skutecznie popierać wykształcenie narodu polskiego, musi pamiętać, że najpewniej osiągnie się ten cel zawsze za pomocą języka polskiego. Dla interesów rządu wystarcza w zupełności, by język niemiecki był przedmiotem nauki w każdej szkole polskiej i by uważano, aby dzieci występujące ze szkoły nabyły biegłości w używaniu tego języka».

Skoro w Berlinie taki zawiał wiatr, musiały się i w Opolu groźne chmury rozejść i zamilknął polakożerczy pan Benda. Albowiem i dla Górnego Śląska rozporządzenie owe było drogowskazem, chociaż v. Altenstein dla tej dzielnicy dopiero dnia 24 września 1826 postawił zasadę, że »nauczyciele, którzy nie znają ojczystego języka dzieci, nie mogą im też pośredniczyć jasnych pojęć, zdrowych zdań i wyrażeń poprawnych«. Ze sprawozdań zażądanych przez ministra dowiadujemy się, że w roku 1824 katolickich szkół ludowych było na Górnym Śląsku razem 647, z tego 282 z wykładem polskim i niemieckim, 199 czysto niemieckich, 131 czysto polskich a 35 z wykładem czeskim i niemieckim. Trzy lata później szkół katolickich i ewangelickich było z wykładem dwujęzykowym 497, czysto niemieckich 230 a tylko 70 czysto polskich. Podawszy te liczby, katolicki radca szkolny ks. Anastazy Sedlag, proboszcz opolski a późniejszy biskup chełmski, i protestancki radca szkolny Jan Samuel Richter w sprawozdaniu swoim z dnia 7-go maja 1827 stawili wniosek, aby 1) we wszystkich szkołach ludowych w obu językach uczono, 2) żeby w gimnazyjach, seminaryjach i na wszechnicy naukę

polskiego języka zaprowadzono, i 3) by liczbę parafii powiększono. Do tego sprawozdania prezydent opolski Hippel dodał swoje uwagi, stawiając pytanie, czy na Górnym Śląsku ma się dalej pielęgnować polszczyznę, co zaraz utożsamia z odosabnianiem ludu tutejszego i z powiększaniem kosztów państwowych, albo czy się ma raczej dążyć do germanizacyi. W pierwszym wypadku potrzebni będą naturalnie nauczyciele słowiańscy, ale by się może więcej zalecało rosyjski język zaprowadzić zamiast polskiego; w drugim zaś wypadku tylko księża i nauczyciele powinni władać polskim językiem. — Odpowiedzi z Berlina nie było żadnej, tak iż każdy inspektor szkolny mógł na przyszłość postępować jak mu się podobało, zwłaszcza że przez dwadzieścia lat, aż do czasów ks. Bogedaina nikt szkół górnośląskich nie rewidował.

Tymczasem Górny Śląsk został wciągnięty w wir namiętej polemiki, która wtenczas w prowincyi naszej się toczyła. W roku 1826 była się ukazała sensacyjna książka pod tytułem: »Die katholische Kirche, besonders in Schlesien, in ihren Gebrechen dargestellt, von einem katholischen Geistlichen«, w której niepodpisany ale prędko odgadnięty autor (Anton Theiner) ostro krytykuje stosunki kościelne na Śląsku. Po części słuszne, po części przesadne wywody jego ogromne zrobiły wrażenie i spowodowały istną powódź anonimowych odpowiedzi z pod pióra katolickich i protestanckich autorów. W jedynym roku 1827 przeszło dwadzieścia broszurek wyszło w tej sprawie, a w tej liczbie kilka o szczególnie górnośląskich stosunkach. Pierwsza tego rodzaju broszura ma tytuł »Freimüthige Aeusserungen über den sittlichen und kirchlichen Zustand Oberschlesiens«. Autor, protestant, nie waha się twierdzić: »Gdzie polski panuje język, tam też zwykle panuje

nieuctwo i niemoralność». Zarzuca Górnoślazakom ciemnotę, pijaństwo, niemoralność, lenistwo, skłonność do kradzieży i niewierność w wojsku; ale przyznaje im dowcip, wesołość, wierność i wytrwałość. Duchowieństwo zaś katolickie obwinia o nieuctwo, wygodę, chciwość, niemoralność i polityczną niepewność; za to kler ewangelicki zdaje się mu być bez zarzutu, tylko że go za mało, szczególnie za mało pastorów dobrze po polsku mówiących. Przyczynę lichych stosunków górnośląskich autor upatruje w nieuctwie księży katolickich, lichym stanie szkół, odpustach i pąciach, w złym przykładzie szlachty, dziedziców i urzędników, w niedostatecznej policji i w lichwie żydów. — Znamienne jest, że ta broszura właściwie była na rok 1817 napisana, z powodu 300-letniej rocznicy wystąpienia Lutra; ale wtenczas autor jakoś obawiał się puścić w świat swój elaborat. Dopiero dziesięć lat później, gdy zdawało się, że Theiner i zwolennicy jego zgotowali już stos, na którym spali się katolicyzm na Śląsku, uwiłał się, jak mówi jeden z jego recenzentów, dorzucić kilka drewnianych kłód z lasów górnośląskich. — Wywody jego sprzeczne i przesadne nie mogły pozostać bez sprostowania. Powstało aż trzech obrońców Górnego Śląska. Jeden w marcowym zeszytacie »Schlesische Provinzialblätter« (1827) obszernie napisał krytykę »Beleuchtung der Schrift: Freimüthige Aeusserungen...« Drugi we Wrocławiu osobno wydał swoją »Kurzgefasste Vertheidigung Oberschlesiens gegen die dieser Provinz in der Schrift: Freimüthige Aeusserungen... gemachten Vorwürfe«. Ci autorowie nie przedstawiali stosunków górnośląskich jako idealne, bo takimi nie były; ale zgodnie podkreślali, że Górny Śląsk pod żadnym względem nie gorszy od innych dzielnic państwa. Co do języka polskiego Górnoślazaków »Kurzgefasste Vertheidigung« słusznie zauważa, że jakkolwiek zepso-

wany, ma swoje prawo jako język ojczysty i »najgorszem byłoby świadectwem dla charakteru tego ludu, gdyby tak łatwo i szybko pozwolił sobie zabrać swój język«. — Nastąpiła odpowiedź: »Die oberschlesische Finsternis, oder Vertheidigung des Verfassers der Freimüthigen Aeusserungen... gegen die auf ihn gerichteten öffentlichen Angriffe«. Zawzięcie powtarza autor, że język polski winien zacofaniu górnośląskiemu, pisząc: »Wyparcie polskiego a zaprowadzenie niemieckiego języka na Górnym Śląsku połączone będzie z nieskończoną trudnością; ale przecież kiedyś nareszcie trzeba z tem zacząć, skoro kraj ma dostać wyższe wykształcenie«. Zresztą urągając ze swoich przeciwników niczego im nie dowiódł, a gdy się w Lipsku ukazała trzecia obrona Górnego Śląska: »Der Wahrheit ihre Kronen. Zur Berichtigung der Freimüthigen Aeusserungen«, wcale już nie próbował się usprawiedliwić. Autor tej broszurki, Górnoślązak poza Śląskiem żyjący, na to zwraca uwagę, że Górny Śląsk aż do najnowszych czasów zawsze po macoszemu traktowano i tamowano tam prosto oświatę, zaprowadzając wszędzie niemiecki tylko język.

Ledwie ucichł jeden oszczerca Górnego Śląska, powstał drugi. Jakiś Fischer z Wrocławia przypominając w »Schlesische Provinzialblätter« (1827, tom 85) kilka rozporządzeń fryderykowskich, zmierzających do rozpowszechnienia niemieczyny na Górnym Śląsku, aczkolwiek nie znający ni polskiego języka, ni narzecza górnośląskiego, miał czelność powiedzieć: »Co za »kauderwälsch« jest mowa prostego chłopca! co za mieszanina czesko-morawskowendyjska! W Krakowie niktby słówka z tego nie rozumiał; uważano by to za jakiś język hotentocki!« Tego było pocziwemu radcy Richterowi w Opolu za dużo. Czyżby on, który

płynnie mówił po polsku i po czesku a znał też język rosyjski, który ku temu cały wiek przeżył na Górnym Śląsku, nie miał tysiąc razy lepiej mózgu ocenić ludu tutejszego i mowy jego, aniżeli partacz wrocławski? Napisał przeto śliczną rozprawkę: »Etwas über die polnische Sprache Oberschlesiens als Verteidigung ihres Wertes.« Stwierdził najprzód, że narzeczka języków słowiańskich z wyjątkiem bardzo małej tylko liczby prowincjonalizmów nawet przez najprostszycy ludzi dziesięć razy czyściej bywają wymawiane, niż niemieczyzna przez podobnych ludzi wieśniaków. Polskie dziecko więc od rodziców niewykształconych języka ojczystego o wiele czyściej się uczy, aniżeli niemieckie, a chociażby wcale do szkoły nie chodziło, na polskiej nauce religii trzy razy szybciej postępuje, niż niemieckie dziecko w tych samych okolicznościach na niemieckiej. Powołuje się tu Richter na przeszło dwudziestoletnie doświadczenie swoje w Hołdunowie, gdzie zawsze z dziećmi i ludźmi polskimi łatwiej się mógł porozumieć aniżeli z niemieckimi. Z tego wynika, że »uwaga języka polskiego za przeszkodę oświaty jest wielkim błędem. Nie język polski, lecz dotychczasowy brak dobrych nauczycieli, lekceważenie ludu górnośląskiego i smutne stosunki, wśród których nieszczęśliwi Górnoślązacy bez własności i pod ciężarem poddaństwa żyć musieli, — to były główne przyczyny niskiego stopnia kultury«. — Równocześnie z radcą Richterem i w tym samym tomie 86 śląskich »Provinzialblätter« jakiś B-s, możliwie pastor pszczyński Bartelmus ogłosił »Einige Worte über das polnische Oberschlesien, besonders über die dortige Sprache«. Czytając fantazyę Fischera o Hotentotach górnośląskich, przetarł sobie oczy, nie dowierzając. Przecież wiedział, że »na ogół na Górnym

Śląsku ten sam język jest w używaniu, którym mówili i pisali narodowi pisarze polscy Kochanowski, Naruszewicz, Krasicki i inni. Katolicy tu miewają książki modlitewne druku krakowskiego; oni i protestanci śpiewają w kościele pieśni Kochanowskiego; dzieci ich czytują po szkołach biblie przez narodowych Polaków tłómaczone, i — o dziwo — ci »Hotentoci« starzy i młodzi to wszystko rozumieją, jakby swój język ojczysty, nie potrzebując ustnego ni piśmiennego przekładu na »kauderwälsch«. — Podobnie się wyraził w »Allgem. Oberschles. Anzeiger« (1827, str. 261) jakiś p. Jarocki, podnosząc, że narzecza górnośląskie (morawskie i polskie) wcale nie gorszem są kauderwälschem aniżeli mowa z najbliższej okolicy Wrocławia. »Nie są one żadnym językiem złodziejskim, za którym kler katolicki, jak to mniema p. Fischer, rzekome knowania swoje ni by ukrywa, ale są narzeczeniami dwóch języków, zupełnie zrozumiałemi każdemu Morawianinowi i Polakowi, dwóch wielkich szczepów własnością«.

Gdy się umysły górnośląskie trochę uspokoiły, zaczęły wychodzić pozytywne propozycje w spórnej kwestyi szkolnej. Nawet niefachowcy narzucali się regencyi, jak na przykład budowniczy opolski H r u d z i k, Morawianin rodem, który wydał książkę »Der einzige unfehlbar zum Ziele führende Weg, die deutsche Sprache unter den Polnischredenden im Verlaufe eines einzigen Menschenalters einzuführen«. Autor poleca zaczynać w szkole od polskiego czytania i powoli dążyć do zapoznania dzieci z niemieckim językiem. — Podobnie pojmował sprawę zawodowy pedagog, F e l i k s R e n d s c h m i d t, nauczyciel przy katolickim seminaryum nauczycielskiem we Wrocławiu, uczeń sławnego Pestalozzowego. W roku 1834 ogłosił w »Schlesische Provinzialblätter« (tom 99) rozprawę: »Ueber die Verbreitung der deutschen Sprache in Oberschlesien«. Stwierdza najprzód, że język

niemiecki w ostatnich 50 latach wielkie na Górnym Śląsku zrobił postępy, gdyż miasta prawie wszystkie już niemczone. Przyczyniły się do tego kolonie niemieckie, służba wojskowa, górnictwo i hutnictwo i nareszcie szkoła ludowa. Jeżeli ta ostatnia stosunkowo mało zdziałała, winne temu fałszywe metody nauczania. Rendschmidt poleca własną metodę, która na tem polega, że zaczyna z dziećmi wyłącznie po polsku, aż się ośmiela i nabiora zaufania do nauczyciela, potem powoli za pomocą polskiego języka wprowadza je do znajomości niemieckiego, aż nareszcie przeważa nauka niemiecka a na najwyższym stopniu prawie zupełnie ustaje polska. Autor ma nadzieję, że takim sposobem szkoła ludowa wkrótce sprawi, iż górnośląski aczkolwiek zdziczały jednak silny szczep słowiański do niemieckiego pnia narodowego przyrośnie, tak, że mieszkańcy Śląska, jak pod jednym stoją księżciem i prawem, połączeni też będą jednego języka wstęga. — Wyraźnie trzeba zaznaczyć, że Rendschmidt dążył jedynie do zapoznania Ślązaków z niemieckim językiem, ale bynajmniej nie do rugowania, wypierania i zaniedbania polszczyzny, której owszem w szkole ludowej szerokie zostawił miejsce. Zwycięzyl później o tyle, że jego podręczniki szkolne zostały na Górnym Śląsku rozpowszechnione; były to »Nauka czytania dla szkół elementarnych miejskich i wiejskich« (1847). »Książka do czytania dla klasy średniej szkół katolickich miejskich i wiejskich« (1843, tłómaczona na język polski przez Józefa Lompę), i »Książka do czytania dla klasy wyższej w szkołach miejskich i wiejskich« (1846).

Zupełnie inne zamiary miał ewangelicki superintendent, Jan Wilhelm H o l e n z, pastor w Czapłowicach (Tschöplowitz) pod Brzegiem, który w roku 1835 własnym nakładem wydał książkę: »Die deutsche Sprache als Schulsprache und Unterrichtsgegenstand in den Elementarschulen derjenigen Di-

strikte Schlesiens, wo noch die polnische Sprache des Volkes ist. Geschichtlich, apologetisch und unterrichtlich dargestellt.« Autor żąda, żeby wszędzie na polskim Śląsku w szkołach ludowych wyłącznie po niemiecku wykładano, z wyjątkiem tylko części nauki religii. Nauczyciel powinien, podług Holenza, od samego początku z polskimi dziećmi mówić po niemiecku, a tylko wtenczas na pomoc użyć języka polskiego, gdy go dzieci nie mogą rozumieć. Sam przyznaje, że jego metoda na ogół zdaje się być »sonderbar und auffallend«, ale mimo to dla Górnego Śląska ją poleca. Po polsku ma być tylko modlitwa i śpiew na początku lekcji na przemian z niemiecką modlitwą i śpiewem, i nauka religii, dopóki nauczyciel to uważa za potrzebne. Skoro dzieci polskie nabędą pewnej biegłości w języku niemieckim, zdaniem Holenza nie tylko szkolna nauka religii powinna już być wyłącznie niemiecka, ale też księża powinni sobie mieć za obowiązek, takie dzieci po niemiecku przygotowywać do sakramentów świętych i zachęcać do uczęszczania na niemieckie nabożeństwa. — Takie poglądy tylko w głowie protestanta mógł się ulegnąć, który jest gotów, państwu wszystko podporządkować, bo i kościół jego jest państwowy i z państwem stoi i upada. Katolik zaś też jest wierny państwu, w którym się urodził, i lojalnie spełnia w niem obowiązki swoje; ale kościół jego, powszechny, niezależny od państwa, szerszy daje mu widnokrąg, swobodniejsze poglądy. Uczy się patrzeć nie tylko na własne państwo, które wielu protestantów jak bożka uwielbia, ale na całą rodzinę narodów na ziemi, i sprawiedliwość pojmuje nie tylko jako państwową, lecz także jako narodową. Ta różnica w omawianej tu kwestji szkolnej na Górnym Śląsku wyraźnie się pokazuje. Protestant Holenz przedewszystkiem podkreśla prawo państwa do zaprowadzenia języka niemieckiego, a polski język ojczysty ludności tubylczej ma zostać

bez wszelkiej opieki i pielęgnowania, aż wymrze nareszcie i będzie jedno państwo i jeden język. Jest to znowu zasada »cuius regio« czyj kraj, tego też narodowość. Ale ta zasada nie jest sprawiedliwa, bo nie daje »suum cuique«, tylko każdemu to samo, »idem cuique«. Zato katolik Rendschmidt niemniej uznając prawo państwa, równocześnie broni też prawa ludu. Mają się uczyć polscy Górnoszlązacy w szkole po niemiecku, skoro żyją w państwie niemieckiem; lecz państwo niemieckie niechaj też zostawi w szkole polską naukę, skoro polskich ma poddanych. Tylko tak będzie jedno państwo i jedno prawo, »suum cuique!«

Z uznaniem trzeba tu podnieść, że von Altenstein, pierwszy pruski minister oświaty, nigdy nie zeszedł z drogi sprawiedliwości; jeszcze w roku 1839 przysłał bowiem do Opola dla informacyi rozporządzenie swoje, wydane do regencyi gabińskiej, w którem jako zadanie szkoły ludowej przedstawia coprawda zapoznanie wszystkich z językiem rządowym, ale jednocześnie zaleca zaczynać naukę szkolną w języku ojczystym. — Niechaj dzisiejsze ministerstwo oświaty w Berlinie znowu wyda podobne rozporządzenie sprawiedliwe, a życzenia Górnego Śląska będą spełnione; zniknie wtenczas rozgoryczenie i nieufność ludu górnośląskiego, bo ujrzy, że ofiary i straty jego w tej wojnie nie były daremne.

LITERATURA: Oprócz dzieł i rozpraw, cytowanych w tekście: Laubert, Eine Denkschrift Johann Samuel Richters über das oberschlesische Elementarschulwesen im Jahre 1821. (Oberschlesien, 14. Jahrg., Heft 12.) — Kolbe, Zur Geschichte der Eindeutschung Oberschlesiens bis zum Tode des Ministers von Altenstein (1840). (Oberschlesien, 16. Jahrg., Heft 2/3.)

III.

## **Józef Lompa, pierwszy szerzyciel oświaty polskiej na Górnym Śląsku.**

Rząd pruski w pierwszej połowie zeszłego stulecia na pozór bardzo względną prowadził wobec Polaków politykę. W szkole, w sądownictwie i w administracyi panowała sprawiedliwa zasada dwujęzyczności. Ale w praktyce stosowano ją tylko w Księstwie Poznańskim; na Górnym Śląsku brakowało poprostu urzędników dwujęzycznych. W szkole na przykład miała być nauka po polsku, lecz nie było nauczycieli, coby byli mogli jej w tym języku udzielać; więc aż do czasów ks. Bogedaina uczono u nas przeważnie po niemiecku, tylko do pomocy przybierając narzeczę górnośląskie. Na sądzie każdy miał prawo mówić po polsku i żądać spisania polskich protokółów, ale rzadko kiedy sędzia umiał po polsku, a i tłumacze bardzo lichą mówili polszczyzną; zamiast powiedzieć: kosta będą umorzone, mówiono wtenczas powszechnie: kusta będą na dół strzaskane (dosłownie z niemieckiego: die Kosten werden niedergeschlagen!) Najczęściej spowodowano ludzi polskich, aby się zrzekli prowadzenia polskiego protokołu. Urzędowy »Amtsblatt« w Opolu ogłaszał i po polsku rozporządzenia, które dla polskiej ludności jakie znaczenie mieć mogły, dopóki Richter tam był radcą; skoro Richter w roku 1838 ustąpił z urzędu, już tylko wyjątkowo ukazywały się tłumaczenia polskie, aż nareszcie regencya tylko raz do roku ostrzegała po polsku, że popisowi, żeniąc się, nie uwalniają się przez to od służby wojskowej.

Tak urzędnicy górnośląscy, za wygodni, aby się dostatecznie po polsku nauczyć, uniemożliwili ludowi naszemu korzystanie z praw swoich językowych. A ten lud, ciągle jeszcze jęczący pod ciężarem pod-

daństwa, o prawach takich może ani nie wiedział; gazet nie było, książek dla ludu też nie było, szkoły były, ale liche, przeważnie niemieckie, skąd więc przodkowie nasi mieli nabrać oświecenia? Jak siorota opuszczona mieli prawa; ale nie znając ich, niczego się nie domagali. Z pańszczyzny jak kopciuszek przywykli do upośledzenia, wcale się nie dziwili, że i polski ich język wszędzie rugowano. Ale Opatrzność czuwała nad Górnym Śląskiem i właśnie na czas posłała mu dzielnych opiekunów w osobie Lompy i Kosickiego.

Pierwszym Górnoszlazakiem, który nie okolicznościowo, ale z zasady ludu polskiego na Śląsku bronił, obronie tegóż ludu całe życie poświęcił i padł ofiarą za sprawę polską, był Józef Lompa, nauczyciel szkoły ludowej w Lubszy, w powiecie lublinieckim. Urodził się w Oleśnie roku 1797. Kształcił się najpierw w szkole polskiej oleńskiej a później u OO. Pijarów w 5 mil oddalonym Wieluniu, położonym w Król. Polskiem. Tuśd niestety uciekł do domu, jeszcze w tym samym roku, chociaż mu nauka bardzo dobrze szła. Obawiał się bowiem (a niesłusznie), iżby jako uczeń zakonników też sam musiał zostać zakonnikiem. Było to w roku 1811. Lompa miał wtedy lat 14. W następnych latach był pisarkiem na sądzie, potem tłómaczem, a w roku 1814 stał się sekretarzem u pewnego dziedzica. Wskutek namowy ojca porzucił Lompa zajęcia pisarskie i poszedł do katolickiego seminarjum nauczycielskiego we Wrocławiu. Po dwóch latach zdał tam egzamin bardzo chlubnie i został, licząc lat 20, nauczycielem. Posłano go teraz do Cieszyna w powiecie sycowskim jako pomocnika nauczycielskiego, ale już miesiąc później otrzymał posadę nauczyciela samodzielniejszego i organisty w Łomnicy, w powiecie oleskim. Stąd przeniósł

się już w następnym roku do Lublińca a po dwóch latach do Lubszy, w powiecie lublinieckim. Tu dopiero osiadł na stałe jako nauczyciel i organista. Czasy lubszeckie to najważniejszy okres jego działalności dla sprawy polskiej. Po 30 letniej pracy dzielnej i owocnej, wydano Lompę ze służby. Najważniejszym powodem wydalenia było bez wątpienia to, że zbyt śmiało bronił ludu polskiego i dzielnie dlań pracował.

Po wydaleniu ze służby w roku 1851 przeniósł się Lompa do Woźnik, miasteczka w pobliżu, gdzie miał własny domek. Nastąpił teraz dla niego we Woźnikach czas bardzo liche. Bo majątku nie miał; co miał, to wszystko wydał na rzecz ludu polskiego. Renty nie przyznano mu żadnej a dzieci miał 12, po części jeszcze nie odchowanych. Nie-raz bieda dokuczała Lompie tak, iż był blizkim rozpaczy.

Wysłuchał nareszcie Pan Bóg Lompę i zmiłował się nad nim, ale dopiero pod koniec życia. W roku bowiem 1858 urządzono w Poznaniu koncert i dochód zebrany w sumie 160 talarów przysłano Lompie. A w roku 1861 zapisał mu w testamencie jakiś bogaty pan w Królestwie Polskiem przeszło 1000 talarów. Była to poważna pomoc dla Lompy, ale nie długo się z niej cieszył. Bo zdrowie jego było już bardzo liche. Słabnął coraz więcej i już w roku 1863 umarł na uwiad starczy, licząc lat 65. To krótki żywot Lompy.

Zobaczmy teraz co uczynił i co zdziałał dla polskości na Śląsku.

Naukę otrzymał przeważnie niemiecką we Wrocławiu. Ale języka polskiego, którego się był w domu rodzicielskim nauczył, nie zapomniał nigdy ani nie zaniedbał. Owszem tak go kochał i pielegnował, jak mało kto. Trzeba wiedzieć, iż za jego czasów było jeszcze bardzo trudno o książki polskie.

nie tak jak dzisiaj. Ale on, gdzie mógł, to zbierał i skupywał książki polskie, aby się zaznajomić z literaturą polską. W seminarjum wrocławskim, gdzie uczono po niemiecku, korzystał Lompa z wolnych chwil, aby zapełnić braki swoje w polszczyźnie, których mu seminarjum nie zapełniało. Niemieccy nauczyciele niechętnie na to patrzeli, i wmaiwiali mu, że jego zamiłowanie do języka polskiego daremne, bo literatury polskiej nie ma i nie będzie. On temu jednak nie wierzył. Skupywał dalej po antykwarniach dzieła polskie za grosze z trudem zaoszczędzone i czytywał je. Takie to trudności przewycieżał, aby ukochany swój język ojczysty uratować i wydoskonalić.

Został potem nauczycielem. Nie tylko dzieci ale i starszych pragnął pouczać, oświecać i do lepszego bytu doprowadzić.

Stosunki ludu polskiego na Śląsku były w ów czas opłakania godne. Istniało jeszcze tak zwane poddaństwo chłopów, niewiele różniące się od niewoli. Szkoły były marne a liczba ich mała. Nauczyciele nie odpowiadali swemu zadaniu. Byli to bowiem często inwalidzi wojskowi albo kościelni, co sami niewiele umieli. Uczyli jako tako czytania i pisania, a niekiedy i trochę rachunków. Uczyli też pacierza, pieśni kościelnych i głównych zasad i prawd wiary św. Książek szkolnych nie mieli ani nauczyciele ani uczniowie. Uczono przeważnie z książek do nabożeństwa a pozatem z pamięci na pamięć. Języka polskiego używano tylko w 70 szkołach, a w 730 szkołach był zaprowadzony język niemiecki, polski zaś przvbierano tylko do pomocy. Już wtedy, a mianowicie od czasów króla Fryderyka II niemczono w szkołach. Do szkoły chodziły dzieci tylko w zimie, jeśli miały czas i ochotę. Często zamiast uczyć się, musiały nauczycielowi na żarnach

mleć albo w stodole przy młócce pomagać albo mu co innego w gospodarstwie robić. Streszczając to wszystko, można powiedzieć: lud był biedny, wyzyskiwany i ciemny. Smutno więc było na Śląsku, nawet bardzo smutno. Lud się przyzwyczaił do nędzy cielesnej i duchowej i nie przychodziło mu na myśl, iżby kiedy dola jego mogła się poprawić, i nie pragnął żadnego polepszenia. Takie były czasy, kiedy Lompa stał się nauczycielem. Serce go bolało na widok nieszczęśliwych rodaków. Pomóc im, to było teraz jego najgłówniejszem życzeniem, to uczynił zadaniem życia swego.

W roku 1807 zapowiedział rząd pruski zniesienie poddaństwa chłopów, aby w przeciwnym razie nie uczynił tego Napoleon, pobiwszy Prusy, czemby chłopów był dla siebie pozyskał. W roku 1811 wyszła rzeczywiście ustawa znosząca poddaństwo. Ale chłop polski nie rozumiał ustawy, która była w języku niemieckim ułożona, a gdzieby byli mieli sposobność przy pomocy tłumaczy dowiedzieć się o jej treści, tam ją ukrywali panowie długie lata przed chłopami. Gdzie zaś chłopowie rzeczywiście dowiedzieli się o swem prawie, tam ich podchodzono różnemi wykrętami, fortelami i gwałtami. Lompa przeciwdziałał krzywdom takim ile mógł. Chłopów pouczał i zachęcał, by się damagali swoich praw, pisywał im (najczęściej darmo) prośby do sądu i przestrzegał ich, gdy w głupocie swojej byli gotowi wyrzec się swoich praw albo je napół darmo lub jeszcze taniej sprzedać. Narobił sobie przez to wiele nieprzyjaźni u panów i urzędników, ale o to nie dbał. Skazano go też raz za taką robotę na 10 dni więzienia albo 10 talarów grzywny. Ale nigdy tego nie żałował, iż ukaranym został za obronę prawa i sprawiedliwości. Takim i innym sposobem usiłował Lompa pomóc rodakom swoim, by doszli jako tako do majątku i do wolności, by mogli żyć po ludzku.

Dużo więcej jeszcze pracował dla podniesienia ich duchowego stanu, dla ich oświaty i kultury. Dla szkół nie było żadnych książek, jak to już poprzednio powiedziano. Uczyli więc szkolni tego, co umieli na pamięć. Bywali kształceni na seminariach po niemiecku; w domu w latach dziecięcych nie byli się nauczyli dostatecznie języka polskiego, a później pozapominali go wcale. Było więc dla nich wprost rzeczą niemożliwą, uczniów swoich prowadzić w nauce polskiej znacznie naprzód. A chętnie posyłano Niemców do szkół w okolicach polskich. Bo nauczycieli niemieckich było więcej aniżeli polskich, gdyż w czasie kolonizacyi pooddawano z przesadnej grzeczności pola najlepsze przybyłym Niemcom, wskutek czego ci dochodzili do dobrobytu prędej, i łatwiej, aniżeli Polacy. Będąc zaś bogatszymi, różniej postępowali w kulturze i częściej mogli synów swoich wysyłać na nauki aniżeli Polacy. Nie wymagano od nauczycieli niemieckich wiele znajomości języka polskiego, bo myślano sobie tak: Im trudniej im pójdzie po polsku, tem skuteczniej będą się germanizowali. I dzieci niewiele się niemieczyły przez takich nauczycieli, ale się też nie wiele uczyły od nich. Miały raczej zabawę z nimi, przedrzeźniając ich koszlawienie języka polskiego. Lompa był pod tym względem szczęśliwszym prawie od wszystkich innych nauczycieli na Śląsku, a to dzięki temu, że był niejakiś czas we wyższej szkole u Oo. Pijarów we Wieluniu, gdzie uczono po polsku. Tam też zaznajomił się nieco z literaturą polską i pokochał ją tak bardzo, że mu jej już nikt niczem obrzydzić nie mógł. Czego mu jeszcze brakowało, tego się sam był nauczył po kryjomu w seminarjum wrocławskiem. To też gdy został nauczycielem i widział straszne zacofanie i zanedbanie nauki polskiej w szkołach ludowych, nie musiał, jak wszyscy koledzy i poprzednicy jego, dla bezradności na wzór

kapłana i lewity w ewangelii iść mimo, i naukę polską, na pół tylko jeszcze żywą, zostawić na wygubienie, ale mógł się zaraz zabrać do wskrzeszania, leczenia i krzepienia polskość. Napisał kilka książek czyli podręczników, w których to, czego się dzieci polskie uczyć miały a niemieckie w swoich szkołach już się uczyły. porządnie zestawiał i wyjaśniał. Dla wygody nauczycieli niemieckich dodawał niekiedy na końcu książki alfabetyczny spis wyrazów polskich i niemieckich z tłumaczeniem. Były to małe książeczki, ale właśnie takich było potrzeba. Wielkie książki byłyby dzieci odstraszały, i dla ubóstwa wielkiego niktby ich nie był kupował. I tak niewiele tych książek poszło między dzieci, ale kupowali je sobie nauczyciele. Nauka nie sprawiała im potem takich trudności jak przedtem, uczyli z większą ochotą i lepiej i przyswajali dzieciom wiele więcej wiadomości aniżeli przedtem. Książeczkami tego rodzaju były np. następujące: Krótkie wyobrażenie historii Śląska. — Krótki rys geografii Śląska. — Książka do czytania. — Pielgrzym w Lubopolu, tj. 16 nauk zawierających dzieje Śląska. — Krótki rys historii naturalnej. — Wzory kaligraficzne polskie. — Wzory rysunkowe. — Przewodnik do rachunków pamięciowych. — Rachownik piśmienny dla szkół elementarnych. Przekonał się Lompa doskonale, iż nauka szkolna to fundament, ale tylko fundament, który wtenczas dopiero ma wartość, jeśli się na nim co zbuduje. Więc i do tego dążył, by dzieci szkolne nie zadowalały się tem, czego się w szkole nauczyły, ale żeby dalej same w domu czytały i coraz dalej się kształciły, żeby się w książkach zakochały na całe życie jak w najwierniejszych i najlepszych przyjaciółach. I tu postąpił sobie bardzo mądrze. Poznawszy upodobanie ludu, napisał mnóstwo bajek, legend i powiastek, po największej części zebranych z ust ludu śląskiego.

Niektóre z nich jak np. »Historya o cierpliwej Gryzeldzie« i »Historya o szlachetnej Meluzynie« i dziś jeszcze bywają drukowane. Ludzie kupowali te książki po odpustach, czytali je bardzo chętnie i podawali je z rąk do rąk, aż je doszczętu szczytali. Podobnież działo się z książkami religijnymi, które Lompa napisał. Lud bowiem na Śląsku zawsze był bardzo religijny. Przez powiastki nabył lud chęci do książek polskich, przez dziełka religijne zaś jak np. różne zbiory pieśni i nabożeństw poprawiał i wzbogacał swój język, gdyż nie tylko w kościele, ale prawie wszędzie, w domu i na polu, przy pracy i podczas odpoczynku, przy świątowych zabawach i na pąci nabożne pieśni śpiewał. W ten sposób doprowadził Lompa ludzi do tego, że później i do poważniejszych i więcej naukowych i pożytecznych książek, których także niemało napisał, śmiało się brali.

Nie tylko lud oświecić i uszlachetnić chciał Lompa, ale i o to mu chodziło, by go uniezależnił i zabezpieczył w kulturze polskiej. W tym celu trzeba było lud pouczyć, jak należy gospodarować, jak przyrodę wyzyskiwać, aby dojść do dostatku i wygody. Bo kto ma brzuch pusty i komu od mrozu zęby szcękają, ten gotów za trochę strawy i za ładajakie odzienie sprzedać i najdroższe pamiątki swoje a zatem i jezyk swój, niekiedy nawet wiarę swoją. Dla tego Lompa nietylko sam u siebie we własnym ogrodzie i na własnym polu uczył przykładem swoim wieśniaków rozumnej uprawy roli i oszczędności w gospodarstwie, ale i książek stosownych wiele napisał, jak np. o rolnictwie, o pszczelnictwie, o hodowaniu drzew owocowych, o uprawie ogrodów warzywnych, o ziołach leczniczych i dużo innych podobnych.

Oprócz dziełek wymienionych napisał dużo innych, które niestety nigdy nie wyszły w druku dla braku pieniędzy. Bo wydawanie książek to bardzo

droga rzecz, która autorowi dopiero wtenczas przynosi zysk jaki, jeśli sprzeda kilka tysięcy egzemplarzy. O tem zaś w owych czasach ani mowy być nie mogło, choć się książki Lompy ogólnie bardzo podobały. Ale Lompa miał na to radę. Czego w książkach nie mógł ogłosić, to opublikował w różnych artykułach po gazetach, na przykład w »Przyjacielu Ludu«, który w Lesznie wychodził. Przyczyniał się też w znacznej mierze do zakładania nowych gazet i czasopism na Górnym Śląsku i tak uprzystępnił ogółowi prawie wszystkie skarby swojej wiedzy.

Zupełnie jego założeniem były gazety: »Telegraf Górnośląski«, tygodnik dla polepszenia, wyćwiczenia i objaśnienia ludu, i »Przewodnik wiejski«, które w latach 1848/49 wychodziły. W tych i innych gazetach starał się uświadamić narodowe lud górnośląski. Pisał np. w numerze 32 »Dziennika Górnośląskiego« z dnia 23 września 1848:

»Czego od sejmu berlińskiego żądać mamy?«

Jeśli kto mogąc czego dostać uczciwym a godnym sposobem, nie stara się o to, ale założy ręce i czeka, aż dobre samo do niego przyjdzie, taki człowiek ani wart niczego, ani też godzien, aby mu się dobrze działo. Nie bądźmy, bracia, takimi, nie zasypiajmy, jak to mówią, gruszek w popiele, bo jeśli się o nic starać nie będziemy, to też nic nie zdobędziemy. Ludy mające własną chęć i wolę wyprzedzą nas, a my wtedy pozostaniemy w tyle, jako gnuśni i leniwi. Otóż mamy teraz na sejmie w Berlinie naszego deputowanego ks. Szafranka. On żąda dla nas narodowości, to jest: abyśmy za Polaków, a nie za Niemców uważani byli, i aby ojczysty nasz język tak dobrze był ceniony i szanowany, jak niemiecki. Otóż tego żąda ksiądz Szafranek, ale on tam ledwie kilku ma, co tak chcą

jak on, a reszta sami przeciwnicy. — Należy więc, abyście się w gromadach zebrali i napisali do Frankfurtu tak: My włościanie Ślązacy z Górnego Śląska, zamieszkując od wieków tę ziemię, sądzymy się być sami prawymi jej dziedzicami, a zatem żądamy, aby narodowość nasza przyznana nam była a równa jak i niemiecka prawa mieć mogła, to jest, żądamy, aby po szkołach niższych uczono tylko po polsku wszystkich nauk, w szkołach zaś wyższych także po polsku, a język niemiecki ma być tylko jako inne, np. francuski, traktowany. Niech też w szkołach naszych uczą, jak to przed laty działo się na ziemi naszej, to jest dziejów Polski. Niech ksiądz, nauczyciel i urzędnik mówią i piszą do nas po polsku, a też wszystkie sprawy w urzędach po polsku mają być trzymane, bo my po niemiecku nie rozumiemy. Niechby Ślązak wyuczony w polskich szkołach mógł być urzędnikiem, księdzem i nauczycielem, a to, choćby po niemiecku nie umiał. Takie są nasze życzenia, a myślimy, że gdy Niemcy używają tych swobód, to i nam sprawiedliwość ich nie odejmie.

Tak napiszcie, podpiszcie i prześlijcie do ks. Szafranka!

Na innem znów miejscu opowiadał czytelnikom swoim: Gdy Fryderyk II pewnego razu w Brzegu nocował i rano do powozu miał wsiąść, przysunęła się do niego niewiasta z Lubieży (Leubusch) imieniem Słezaczka, mówiąca po polsku. »Mówcie po niemiecku!« odezwał się król, »djabeł to szwargotanie rozumieć może«. Niewiasta tłumaczyła się, o ile mogła, po niemiecku, prosząc o uwolnienie syna od służby wojskowej. Król odmówił tej prośbie, czego ona jednak nie rozumiała. Prosiła tedy o odpowiedź w języku polskim. Na to jej król odrzekł, że nie umie po polsku. Nieprzestraszona tem kobie-

ta odpowiedziała śmiało w łamanej niemczyźnie: »Kiedy Wasza Królewska Mość jest naszym królem, niechaj też po polsku raczy mówić, aby to poddani wyrozumieć mogli«. Nie wziął tego król bynajmniej za złe, rzekł owszem: »Słuchajcie, kiedym się mówić uczył, jeszczeście wtedy poddanymi moimi nie byli«, i przychylił się do prośby kobiety.

Lompa kończy odezwą: Bracia Ślązacy! czego ta niewiasta od króla żądała, i wy słusznie od władz waszych żądać możecie, ażeby protokoły w sprawach waszych po polsku pisane były.

\* \* \*

W owych czasopismach i gazetach nie tylko uczył Ślązaków, ale też dużo o Ślązakach, o ich przeszłości, ich właściwościach i zwyczajach i t. p. dla uczonych na szerokim świecie nanisał, tak iż można powiedzieć, że Lompa to sprawił, iż się teraz profesorowie w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu i wogóle uczeni na świecie zaczęli zajmować Ślązakami, oraz lepiej ich poznawać i cenić. Byli mu za to ci uczeni bardzo wdzięczni, i uczcili go za to, mianując go (w czterech towarzystwach naukowych członkiem honorowym).

Trzeba teraz jeszcze nieco powiedzieć o pracy organizacyjnej Lompy, bez której wszelka praca kulturalna na niczem spełźnie. Organizacya potęguje pracę jednostek, i zapewnia im skuteczność. Jak mąka, choćby najbielszą, nie wiele ma wartości dla nas, dopóki jej piekarz nie przerobi na chleb, tak, też lud, i bardzo oświecony, nie wiele znaczy, dopóki go nie złączysz organizacyą w jednego olbrzymia, mającego jedną wolę i jedną duszę. Lompa co prawda nie spojił ludu śląskiego tak, żeby jako jedność o jednej woli, dążącej do jednego celu, występował. Tego i dzisiaj jeszcze nie mamy na Śląsku. Ale on tę pracę jednoczącą lud śląski razem

z innymi mężami rozpoczął i w kierunku do jej celu niemało naprzód poprowadził. On pierwszy zachęcał do zakładania towarzystw i czytelni i opracował dla nich dosyć praktyczne ustawy. Za jego pobudką powstało w Bytomiu 1848 »Towarzystwo pracujących dla oświaty ludu górnośląskiego«, którego organem był »Dziennik Górnośląski«, (w połączeniu z innymi) założył Towarzystwo nauczycieli Polaków, urządzał różne zjazdy i wiece albo pomagał do ich urządzenia i obrabiał ludzi, że podpisywali różne prośby do sejmu pruskiego, w których energicznie żądali uznania praw swoich:

Lompa więc nauczał i oświecał lud, polepszał jego byt, podnosił jego cywilizację i jego kulturę, prowadził go do świadomości swej godności i swoich praw, łączył go w szeregi i sposobił i zapalał do przeczornej, wytrwałej a godziwej walki o prawo swoje, o lepszą przyszłość. Przed Lompą nikt tego nie czynił. Słusznie tedy można go uważać za patriarchę ruchu polskiego na Śląsku, jak go nazwał biograf jego Konstancy Prus.

Oto kilka szczegółów z życia i działalności Lompy, które każdy Polak na Śląsku powinien zachować w pamięci.

Dzieła Lompy dzisiaj pokryte już niepamięcią, bo teraz już może nie wiele by się przydały do pracy kulturalnej. Mamy teraz już lepsze i doskonalsze książki i urządzenia. Ale jego pilność i odwaga, jego wytrwałość i ofiarność mogłyby nam dzisiaj jeszcze posłużyć za przykład do naśladowania. Nie bronił on ludu dla zysku, ale z wielkiej miłości ku niemu. Cały majątek swój i wszystko swój czas poświęcił sprawie ludowej a w na-

grodę za to odebrano mu urząd, z którego żył, zagrożono mu drogę do innego zarobku, tak iż w ostatnich latach żywota swego głód i niedostatek cierpieć musiał razem z liczną rodziną swoją. A i wtedy jeszcze nie przestał pracować dla ludu, aż do śmierci się dlań wysilał. Dziś można powiedzieć: Zgasła Lampa (Lompa, bowiem to tyle co lampa w wymowie śląskiej niektórych okolic) zgasła ta lampa, co swego czasu całe snopy światła rzucała na śląski lud polski, ale od tej lampy pozapalały się inne a od tych znowu inne. Tak szło dalej aż do naszych czasów. Mamy teraz światła dużo jaśniejsze od Lompowego, ale jeszcze nie wszędzie. A o to właśnie chodzi, by wszyscy Polacy na Śląsku byli światłymi ludźmi. W każdym domu więc powinna być przynajmniej lampeczka jakaś, tj. książka dobra albo gazeta, rozpraszająca ciemności w głowach młodych Polaków. W każdym mieście i w każdej wiosce powinno by też być przynajmniej jedno towarzystwo polskie; bo towarzystwo to wielki zbiornik oleju, który do utrzymania płomienia lampeczki koniecznie jest potrzebny. J.

#### IV.

### **Zabiegi Karola Kosickiego o równoprawnienie językowe na Górnym Śląsku.**

Podczas gdy Lompa ludowi polskiemu przez rodzimą oświatę podawał broń do późniejszej własnej obrony, Karol Kosicki kołatał do prezydentów, ministrów i królów, aby ludowi górnośląskiemu wyjednać sprawiedliwość narodową.

Był to szlachcic śląski z rodziny ongi polskiej, lecz oddawna zniemczony. Urodził się w roku 1788 w Roszkowicach pod Byczyną, a wyrósł na dobrach rodzicielskich w okolicy wrocławskiej; od roku 1813 osiadł na Górnym Śląsku i był właścicielem wioski Wilkowice w pow. tarnogórskim; tam się trochę po polsku nauczył. Był więc Niemcem, pisał się też zawsze z niemiecka von Koschützki, nie uważał się nawet za osobliwego przyjaciela Polaków, ale był, jak sam pisze, przyjacielem prawa i sprawiedliwości i każdego rodzaju uciski niepotrzebne serdecznie nienawidził. Dlatego nie mógł spokojnie patrzeć na krzywdę, jaka się działa ludowi górnośląskiemu. Przeciwno wyzyskiwaniu chłopów przy uwłaszczeniu ich napisał odezwę do szlachty górnośląskiej pod tytułem: »Was wir wünschen, was wir wollen, was wir dürfen, was wir sollen!« (2. wyd. 1849 w Tarnowicach), a przeciwko rugowaniu języka polskiego ze życia publicznego walczył bez ustanku.

Gdy po odejściu radcy szkolnego Richtera z Opoli w roku 1838 przestały rozporządzenia regencji być ogłaszane po polsku, Kosicki wysłał zażalenie do naczelnego prezydenta Merkla we Wrocławiu i z jego polecenia zwrócił się w tej sprawie do regencji opolskiej. Odebrawszy stąd odpowiedź, że wobec szczupłych znajomości językowych i rzeczowych polskich Górnoślązaków uważano za stosowne zaniechać takich tłumaczeń, aby uniknąć nieporozumień, prosto do nowego króla Fryderyka Wilhelma IV napisał i równocześnie poruszył sprawę na sejmie śląskim. We wrześniu tegoż roku 1841 powiadomiono go przez naczelnego prezydenta, że nie można uwzględnić prośby jego, ponieważ na Górnym Śląsku tylko prosty lud mówi po polsku, nie zaś jak w Poznańskim i szlachta; oprócz tego mowa górnoślą-

ska nie jest językiem czysto-polskim, jaki się zachował w Królestwie i w Księstwie, ale tylko narzeczem jego z domieszkami niemieckimi, które nie może sobie rościć prawa do dalszej opieki a jeszcze mniej do stałego zachowania; takowe byłoby nawet dla oświaty górnośląskiej, jedynie niemieckim językiem osiągniętej, cofnięciem wstecz. Dlatego też, pisze Merkel, szósty sejm śląski odrzucił podanie Kosickiego. Natychmiast odbił mu śmiało dzielny pan na Wilkowicach: Jeżeli odrzucili petycję o uwzględnienie języka polskiego, która, jak sądzono, jedynie przez omyłkę mogła się dostać przed sejm prowincyi, gdzie tylko tu i owdzie używa się języka polskiego, to stąd pochodzi, że 700.000 polskich Górnoślązaków, gęsto zamieszkujących więcej niż dwanaście ze szesnastu powiatów obwodu opolskiego, tam ani jednego prawdziwie narodowego nie mają przedstawiciela, co na przyszłość będzie trzeba zmienić. Potem o narzeczu górnośląskiem powtórzył, co już Richter i Bandtkie powiedzieli, że się mniej różni od piśmiennego języka polskiego, aniżeli niemczyzna z okolicy wrocławskiej od mowy czysto niemieckiej.

Odpowiedzi nie otrzymał na to żadnej; zato odrzucenie petycji jego na sejmie śląskim w roku 1841 wywołało nader żywą dyskusję w gazetach i czasopismach ówczesnych np. w »Leipziger Allgemeine Zeitung«, w »Schlesische Zeitung«, w »Schlesische Chronik«, w »Breslauer Zeitung«, w »Tygodniku Literackim«, w »Jahrbücher für Slavische Literatur, Kunst und Wissenschaft« i w »Schlesische Provinzialblätter«. »Schlesische Chronik« (1842, nr. 24) podała piękny artykuł »Sum cuique!« podpisany przez: Ein oberschlesischer Freund der Wahrheit und des Rechts; nawet »Schle-

sische Zeitung« (1842, nr. 161) popierała żądania Kosickiego; tak samo »Breslauer Ztg.« (1842, nr. 188) była za tem, aby lud górnośląski na jedynie prawdziwej drodze przez język ojczysty prowadzono do wyższego wykształcenia. Wielką rolę odgrywała w tej dyskusji odpowiedź królewska do pastora Mrongoviusa w Gdańsku, z którą się rzecz miała tak:

Mrongovius był pastorem przy polskim kościele św. Anny w Gdańsku i ongi też nauczycielem polskiego języka w tamtejszem gimnazyum. Gdy w roku 1806 pruskie królewęta bawiły w Gdańsku, miał zlecenie uczyć je języka polskiego, do czego jednak wtenczas nie przyszło. Po zniesieniu polskich lekcyi w gimnazyum (1817) Mrongovius ułożył słownik polsko-niemiecki, którego egzemplarz w roku 1823 też królowi pruskiemu wręczył. Drugie wydanie tego dzieła, które się w roku 1837 było ukazało, z pewnem opóźnieniem dopiero dnia 7-go kwietnia 1842 przesłał Fryderykowi Wilhelmowi IV. Wtedy to autor, staruszek już 78 letni, pisał królowi: »Niechaj mi będzie wolno przy tej sposobności świętą sprawę uciśnionego języka ojczystego, zwłaszcza protestanckich polskich rodaków moich, polecić ojcowskiemu sercu Jego Królewskiej Mości. Odkąd nowi radcy szkolni przy regencyi zaczęli popierać germanizacyę z tak niepomierną gorliwością, że nalegają, aby dzieci ubogich wieśniaków polskich koniecznie już nie po polsku, ale jedynie po niemiecku uczyły się czytać — zwykle nie rozumiejąc wcale, co czytają, — odkąd uczenie się dziesięciorga przykazań Boskich, składu apostołskiego i Ojczenasza w języku ojczystym podano w pogardę, wyrastają półpoganie, którzy o Bogu i świętem słowie jego

nic prawie nie wiedzą. Bo jeżeli już trudnem zadaniem dla nauczyciela religii nawet za pomocą ojczystego języka dotrzeć do serca ludzkiego, jakże miałyoby być możebnem, obcymi ledwie nawpół zrozumiałymi dźwiękami nakłonić serca do dobrego? Lud to odczuwa i gorące, gorzkie nawet łzy płacze nad przepaścią, która przez narzucanie niemieckiego języka w uczuciowem i rodzinnem życiu się zarywa. Niżej podpisany podczas długiego żywota swego, którego 8 lat w urzędzie szkolnym w Królewcu a 44 lata w kaznodziejskim urzędzie w Gdańsku pracował, często miał sposobność ze żalem słuchać narzekania swych rodaków Mazurów na niemiecki przymus językowy. Nie mógłby ze spokojem dobrego sumienia zejść z tego świata, gdyby przedtem nie był bolesnego współczucia swego z takimi stosunkami wynurzył przed wzniosłym tronem Jego Królewskiej Mości. Niechaj Jego Królewska Mość raczy ze zwykłą przychylnością i łaską wysłuchać słaby głos jego!« — Tak wzruszającej skardze i prośbie szlachetny król nie mógł się oprzeć. Jak donosi »Königsberger Zeitung« (1842, nr. 133), Mrongovius otrzymał pismo gabinetowe z dn. 28-go maja 1842 tej treści: »Oddaję sprawiedliwość wiernej gorliwości Pańskiej około zachowania ojczystego języka rodaków swoich i spowodowałem ministra Eichhorna, załatwić odpowiednio obawy Pańskie pod tym względem.« Rzeczywiście minister oświaty dzień później, 29 maja, wydał instrukcyę w sprawie języka wykładowego w szkołach ludowych, seminaryach i gimnazyach Księstwa i Prus.

Podobne nadzieje żywił wtedy Górny Śląsk, którego pierwszym rzecznikiem był ciągle Kosicki. Ale przed ks. Bogedainem nie doczekał się żadnej reformy. W »Leipziger Allgem. Zeitung« (1842, nr. 233) narzeka nawet jakiś korespondent, że wskutek

królewskiej odpowiedzi Mrongoviusowi udzielonej już też na Górnym Śląsku kilku ludzi zaczyna podburzać i wygórowane żądania stawiać dla polskiego języka tamecznego. Autor twierdzi, że mowa górnośląska, tak zwana wasserpolska, należy do tych narzeczy, których wytępienie byłoby istnem dobrodziejstwem dla języka, którego się uczeły; że narodowi Polacy śmieją się z narzecza górnośląskiego i przy każdej sposobności oświadczają, iż tej gadaniny bynajmniej nie ma się uważać za polszczyznę i t. d. Takim bredniom zaprzeczył zaraz »Tygodnik Literacki« w Poznaniu (1842, nr. 3<sup>o</sup>) pisząc: Narodowi Polacy wtedy dopiero narzecza górnośląskiego nie będą uważać za polszczyznę, gdy zapomną historję swego kraju! — Aby się osobiście przekonać, czy mowa górnośląska jest polską albo nie, w tym samym roku 1842 przedsięwziął młody Anielewski, członek towarzystwa literacko-słowiańskiego we Wrocławiu, podróż pieszą z Opola do Strzelca, potem do Toszka, Pyskowic, Gliwic, Królewskiej Huty, Bytomia, Tarnowic, Lublińca, Dobrodzienia, Małapiany i napowrót do Opola. Cóż znalazł? »Radość moja była nie mała, pisze, gdym się przekonał, że rzeczy całkiem inaczej się miały, niż dotąd ogólnie sądzono. Wymowa ludu po wsiach jest dobitna, ale cokolwiek schłopiała, zupełnie jak w Poznańskim... Język jest wogóle, o ile mogłem zbadać z ust ludu, dosyć płynny i dźwięczny, germanizmy jeszcze tak rzadkie, że w istocie dziwić się należy, iż zabiegi germanizacyjne tak spełzły na niczem... Oczywistym dowodem, jak wolno i jak mało rozpowszechnia się tam język niemiecki, jest to, że lud po wsiach po wielkiej części nie wie, jak nawet najbliższe miasta zowią się po niemiecku«. Oświaty było mało między ludem, gdyż nauczyciele i księża nie wiele

umieli po polsku. Słusznie woła młody akademik: »Usuńcie przeszkody tamujące rozwój oświaty na Górnym Śląsku, dajcie ludowi nauczycieli znających jego mowę, a bez wątpienia prześcignie tych, co się teraz z niego wyśmiewują!« Tymczasem z zachwytem witał objawy, jak wiersze Lompy, które aczkolwiek pierwotwory dopiero i zaczątki (Infusorien!), zapowiadały jednak nową epokę.

O nowej epoce świadczy też następujący głos z Górnego Śląska, który się dnia 19 grudnia 1842 w »Jahrbücher für slavische Literatur, Kunst und Wissenschaft« (tom 1, str. 89) odezwał. Autor skarży się najprzód, że urządzeń, jakie w Księstwie zaprowadza się w kościele i w szkole dla zachowania narodowości, nie rozszerza się na naszą prowincję. Ma jednak zaufanie do rządu, że spełni też życzenia Górnoszlązaków a nie usłuchnie wrogów tej dzielnicy, w których żyłach tak często polska płynie krew. »Nasza sprawa sprawiedliwa, pisze dalej, a w walce musimy odnieść zwycięstwo. My Górnoszlązacy zostaniemy Polakami sercem i duszą, słowem i czynem, chociażby pojedynczy zapaleńcy niemieccy z większą jeszcze wściekłością na naszą narodowość napadali.«

Takie wynurzenia drażniły Henryka Wuttkiego, historyka wrocławskiego, który w »Schlesische Provinzialblätter« (1844, tom 119), oświadczył: »Szanujemy i czcimy narodowość słowiańska jak każdą inną; ale wyżej niż narodowość stoi nam sprawa oświaty i uszlachetnienia. Polacy wśród Niemców żyjący, ludzie niskiego stanu, bez wykształcenia i Niemcom się wysługujący, za prawdę nie mają innego wyboru, jak w następstwie pokoleń przemienić się na Niemców; zyskają

przez to nasz język, który polskiemu z pewnością w niczem nie ustępuje, naszą literaturę, która polskie piśmiennictwo przewyższa, i naszą oświatę. Niesłusznie zaś postępują ci, co rzucając w ich duszę wątpliwość i niepokój, utrudnić im chcą to przejście konieczne a i tak już nieprzyjemne...« Tu Wuttke miał na oku przedewszystkiem czeskie wpływy, o których na końcu zapewnia: »Jesteśmy przekonani, że usiłowania, aby wskrzesić do nowego życia zmarłą słowiańszczyznę w kraju niemieckim silnie rozwiniętym, będą daremne a powodzenia tylko przejściowe.«

Na to w tem samem czasopiśmie (tom 119) Kosicki odpowiedział, że wszyscy poddani państwa pruskiego równe mają prawo, ale polscy poddani tego prawa nie rozumieją, gdyż tylko po niemiecku jest napisane i tłómaczone. Uważa za słuszniejsze, aby się urzędnicy w polskich okolicach nauczyli po polsku, aniżeli żądać od setek tysięcy polskiej ludności znajomości języka niemieckiego. Zwraca na to uwagę, że ignorowanie języka ojczystego tak znacznej mniejszości zniechęcać musi do państwa ludzi posługujących się tym językiem upośledzonym. Byłby czas, przyjęć inną zasadę, mianowicie równego uwzględnienia wszystkich istniejących w państwie języków; to nie trudno, jeżeli młodzież kształcąca się będzie miała sposobność nauczyć się w szkołach państwowych wszystkich tych języków.

Pośredniej drogi trzymał się przeciwko Kosickiemu pozasłużbowy major Splittgerber na Polgsen pod Wolawą, który, nie chcąc jak Wuttke przemienić Polaków na Niemców, zaznaczał tylko (tom 119), że rząd musi się posługiwać językiem większości, t. j. niemieckim; aby zaś i mniejszość polska mogła zrozumieć jego rozporządzenia, wymaga się od niej znajomości języka niemieckiego.

Bo większy ma interes ludność polska, aby się po niemiecku, aniżeli niemiecka i organizm państwowy, aby się po polsku nauczyć.

W następnym zeszytcie śląskich »Provinzialblätter« Kosicki wyraźnie dwa zdania podał do dyskusyi: 1) że lud polski jedynie za pomocą języka polskiego można wychować, 2) że słuszniejby było, gdyby kilka set urzędników nauczyło się po polsku, aniżeli setki tysięcy ludności polskiej zmuszać do nauki języka niemieckiego. Znamionem jest, że tym zasadom nikt nie poważył się zaprzeczyć; dyskusya była skończona, a Kosicki był górą. Widocznie z tego nie zadowolony, Karol Eberth, badacz niemieckiego narzecza śląskiego, rok później zachęcał do dalszej dyskusyi. (»Schles. Prov. Bl.« 1845, tom 122). Cieszył się, że minęły czasy narodowej obojętności, gdy światowcy tylko po francusku a uczeni tylko po łacinie mówili i pisali a język ojczysty jedynie do służby i do robotników był ograniczony. Przebudziła się nareszcie świadomość narodowa, która naturalnie na pograniczach językowych spowodowała różne starcia. O narodowości Śląska śmiało twierdzi Eberth bez ogródki, że to kraj kulturą niemiecką od słowiańszczyzny zwycięsko odbity (dem Slaventum siegreich abgerungenes Land), ale zaraz sobie przypomina, że w duchu wyprzedził bieg rzeczywisty, gdvż proces germanizacji Śląska ma się dopiero dokończyć. Zestawiając potem głosy, które o walce językowej na Górnym Śląsku w śląskich »Provinzial-Blätter« się były odezwały, chwalił Wuttkiego i zarzucał Kosickiemu, że go źle rozumiał, ponieważ wywody Wuttkiego żadnych zaborczych nie miały zamiarów, lecz jedynie bronić chciały niemczyznę od slavomanów czeskich, chwalił dalej Splittgerbera i nareszcie podał jeszcze raz do dyskusyi owe dwa punkty Kosickiego, sam się cofając jako zbyt mało

znający stosunki górnośląskie. — U Ebertha po pierwszy raz spotykamy się z argumentami dzisiejszych hakatystów, z ich ideałem, to jest zwycięskim odbiciem polskich dzielnic państwa pruskiego od słowiańszczyzny, i z wykrętami ich, że nie mają planów zaczepnych, bo bronić tylko pragną zagrożoną niemieczyznę. — Mimo nawoływań Ebertha nikt do dyskusji się nie zgłaszał. Więc w roku 1846 po drugi raz sam wystąpił oburzając się na czeskie czasopismo »Kwety«, które 1844 (nr. 5) rozpisywało się o »silnym rozwoju słowiańszczyzny na Górnym Śląsku« i twierdziło, że od czasów Fryderyka II niemieczyzna żadnych u nas nie zrobiła postępów. Nie było trudno wykazać, że to nie prawda, a Eberth uczynił to na podstawie statystycznej pracy Hundricha »Nachrichten über die polnischen und andern ausserdeutschen Sprachverhältnisse in der Provinz Schlesien, besonders im Bereich des Ober-Landesgerichts zu Breslau.« (Uebersicht der Arbeiten und Veränderungen der Schles. Ges. für vaterländ. Cultur 1843/44.) Hundrich w dwóch rubrykach podaje stan rzeczy z roku 1813 i roku 1843. W Kluczborskiem 1843 we wszystkich miastach przeważała już niemieczyzna a i na wsiach byli ludzie, co rozumieli po niemiecku. W Sycowskiem stosunki były niezmienione, gdyż wszędzie mówiono wyłącznie po polsku. Za to w Oleśnickiem była germanizacya wielkie zrobiła postępy; w roku 1813 była w Oleśnicy polska gmina a 1843 pisze Hundrich, że za 10 lat język polski w powiecie oleśnickim już nie będzie chyba w używaniu. Ta przepowiednia Ebertha w zachwytyt wprawiała; kończy bowiem tryumfalnym wykrzykiem: »Więc jeszcze raz powtarzam, stanowczy i niepowstrzymany postęp niemieckiego żywiołu w okolicach Śląska dziś jeszcze zupełnie nieniemieckich jest niezachwianym faktem historycznym, koniecznością nawet kulturalno-dzie-

jową.« Aby ostudzić trochę jego zapał narodowy, Kosicki w następnym, lipcowym numerze śląskich »Prov. Blätter« (1846, tom 124) przypomniał mu, że te postępy niemczyzny na Śląsku w żadnym nie stoją stosunku do wysiłków w tym względzie poczynionych i że ignorowanie polskiego języka w szkole zostaje niepotrzebnem a w skutkach swoich szkodliwym drażnieniem ludności. — Znowu ucichł spór o językowe prawa Górnego Śląska i znowu Kosicki ostatni miał głos. A wkrótce cały świat z przerażeniem musiał się przekonać, że gwałtowne narzucanie ludowi naszemu niemieckiego języka fałszywą było drogą do oświaty. Albowiem gdy w latach 1847 i 1848 przyszły nieurodzaje a skutkiem tego głód i tyfus, lud górnośląski zaniedbany w nędzy swojej od innych, sam nie wiedział, co począć, bo czytać nie umiał albo nie rozumiał co czytał. Wygłodzony cieleśnie bieda niesłychaną a umysłowo fałszywą pedagogiką, marnie musiał ginąć i tysiącami umierał. Serce się kraje, gdy się czyta opisy tej klęski głodowej. Żydowski lekarz Max Ring w pamiętnikach swoich opowiada, że na widok tego obrazu nędzy z towarzyszem usiedli na kamieniu przy drodze i rzewnie się rozplakali, przejęci niewymowną boleścią i żalem. — Berliński profesor patologii Rudolf Virchow, który przybył na Górny Śląsk, aby tu robić badania nad tyfusem głodowym, ogłaszając drukiem swoje spostrzeżenia i doświadczenia otwarcie obwiniał rząd, że fałszywe był poczynił kroki celem niesienia oświaty, gdyż zadaniem ich była zarazem germanizacya.

Teraz też Kosicki z podwójną gorliwością domagał się szkoły polskiej dla polskich Górnoślązaków. W maju 1848 ogłosił w »Schlesische Provinzial-Blätter« (tom 127) obszerną i gruntowną rozprawę: »Die oberschlesischen Zustände und die

Mittel, dieselben wirksam zu verbessern.« Wyjaśnił przyczyny obecnej klęski i dawał praktyczne rady do reformy. Z wielkim naciskiem podkreślał, że aby doprawdy podnieść lud górnośląski, który z przyrodzenia jest pojętny, dowcipny i wielkie ma zdolności, byłby największy czas, zastosować inny system w jego traktowaniu, obcować z nim w polskim jego języku i przez polskich nauczycieli i polskie książki szerzyć lepszą oświatę, zamiast dalej daremnie próbować niemczenia. Zabrał się też zaraz do dzieła. Połączywszy się z L o m p a, niezmordowanym szerzycielem rodzimej oświaty ludowej, założył w Bytomiu w roku 1848 »t o w a r z y s t w o o ś w i a t y l u d u g ó r n o ś ł ą s k i e g o«, którego przewodniczącym go obrano. Współpracownikami jego byli tam proboszcz bytomski ks. Szafranek, nauczyciel Smolka z Bytomia i młody Krakowianin Józef Łepkowski, który po ukończeniu studyów kilka lat gorliwie u nas pracował i świetne rozprawy o stosunkach górnośląskich pisywał do czasopism krakowskich, poznańskich i warszawskich. W imieniu tego pierwszego towarzystwa polskiego na Górnym Śląsku zwrócił się Kosicki dnia 5 listopada 1848 do naczelnego prezydenta Pinder'a z prośbą o większe uwzględnienie języka polskiego we szkole i w urzędach. U s p o s o b i e n i e n a G ó r n y m Ś l ą s k u tak opisuje: »Podczas gdy jedni, a to niestety największa część wyższych warstw ludu i urzędników z czystego sobkostwa dążą do utrzymania ludu w głupocie i ucisku, aby tem wygodniej móc go wyzyskać i nim rządzić — co oczywiście w sposób najłatwiejszy i najmniej uderzający osiągnąć mogli zupełnem ignorowaniem i zaniedbaniem języka jego, — drudzy prawią o łatwości i możliwości zupełnego zniemczenia tego ludu za pomocą tylko niemieckiej nauki szkolnej w nadziei, że potem głupota sama się usunie a zatem i dotychczasowy ucisk ustanie«.

Ponieważ Pinder wkrótce ustąpił z urzędu, Kosicki jeszcze tego samego roku wystosował list do jego następcy von Schleinitz'a i równocześnie dnia 13-go grudnia wysłał podanie prosto do króla. Wskazując na tyfus głodowy pisał Schleinitzowi: »U nas zaprawdę nie chodzi o marzenia o państwie polskiem i wcale nie o politykę, ale chodzi o to, czy jeszcze dłużej chce się obstawać przy zupełnem ignorowaniu potrzeb polskiego ludu naszego na Górnym Śląsku«. Schleinitz przyznał słusność Kosickiemu i zaraz rozporządził, żeby polskich Górnoślązaków we własnym ich języku zawiadamiano o rozkazach i zamiarach władzy. — W podaniu bezpośrednio na ręce króla wysłanem Kosicki żądał zupełnego równouprawnienia dla ludności polskiej na Górnym Śląsku i domagał się: 1) żeby wszystkie publiczne i urzędowe rozporządzenia, prawa i obwieszczenia ogłaszano też po polsku, 2) aby żaden urzędnik tu nie dostał posady, który nie włada zupełnie obu językami, 3) by w czysto polskich miejscowościach w szkołach ludowych wyłącznie po polsku wykładano, tam zaś, gdzie oba języki są w używaniu też w szkole obiema się posługiwano, 4) żeby polskiego języka we wszystkich wyższych szkołach, gimnazyach a przede wszystkim seminariach na Górnym Śląsku regularnie i dostatecznie uczono, 5) by we wszystkich szkołach wyższych wschodniej części monarchii język polski przynajmniej w tylu lekcyach wykładano, jak francuski, 6) żeby we wszystkich rozprawach sądowych i innych posługiwano się tylko tym językiem,

którym strony władają a w tymże języku spisywano protokoły, uchwały i wyroki. — Na takie wnioski swoje otrzymał w lutym 1849 z Opola a w maju i z Wrocławia odpowiedź, że ministerstwo dla spraw wewnętrznych potwierdziło wydanie osobnego polskiego dodatku do opolskiego »Amtsblattu.« Co do reszty odsyłano Kosickiego do nowego prawa szkolnego, które miało uwzględnić najważniejsze żądania jego.

Niestety doczekał się dzielny obrońca ludu górnośląskiego nowego zawodu; albowiem tylko dwa numery takiego dodatku wyszły w roku 1850, potem parę lat znowu nic. Aby lud nie został zupełnie bez dorady prawnej, Kosicki, dość zamożny na to, własnym nakładem wydawał 1851—53 u Henczka w Piekarach »Poradnik dla ludu górnośląskiego.« Objaśniał tam najważniejsze przepisy prawne i rozporządzenia władzy i podawał też cenne wskazówki w sprawach gospodarczych i rzemieślniczych. Najwięcej sam pisywał, ale ponieważ nie znał dostatecznie języka polskiego, pisał po niemiecku a Lompa i Smolka tłómaczyli artykuły jego na polskie. »Poradnik« wychodził w 3000 egzemplarzy a bywał z początku bezpłatnie, a potem za niesłuchanie niską cenę rozsyłany gminom w celu rozdawania między lud. Z wielkiem uznaniem »Przegląd Poznański« w roku 1852 donosił o tem czytelnikom swoim, aby »zwrócić uwagę publiczną na godną szacunku gorliwość p. Kosickiego« i dodaje, że kosztem Kosickiego wyszła też pożyteczna książeczka pod tytułem: »Praktyczna nauka o hodowaniu drzew owocowych«, którą był Lompa z niemieckiego na język polski przełożył. (Bytom, 1852).

Tak Kosicki sam przed ludem górnośląskim niósł »oświaty kaganiec«; tymczasem widoki uzyskania sprawiedliwości od rządu pogorszyły się tem wię-

cej, że w marcu 1852 na zebraniu towarzystwa agronomicznego i leśnego w Opolu Heinrich, dyrektor zakładu agronomicznego w Proszkowie w długiej mowie starał się wykazać, że jedynym sposobem do poprawy bytu ludu polskiego jest zupełne zniemczenie go przez szkołę i kościół. Choć ruchliwy Kosicki przeciwko takiej teorii osobny okólnik rozesłał i równocześnie w Berlinie prosił o dalsze wydawanie polskich dodatków przez regencyę opolską, zostawiono go długo bez odpowiedzi, aż mu wreszcie w roku 1854 minister spraw wewnętrznych von Westphalen raczył odpisać, że nie podobno uwzględnić prośby jego, ponieważ nie jest pożądanem, aby dla pielegnowania zepsutego narzecza polskiego na Górnym Śląsku urzędowo cokolwiek czyniono. Teraz Kosicki wystosował w tej sprawie petycyę do sejmu pruskiego, nad którą dnia 5 lutego 1855 obradowano. Na wniosek landrata von Mitschke-Kolande przeszła jednak Izba nad tem podaniem do porządku dziennego, bo minister von Westphalen oświadczył, że wydawanie polskiego dodatku kosztowałoby 3000 talarów rocznie. Wtedy Kosicki ofiarował się ministrowi, że za dziesiątą część, t. j. za 300 talarów takie wydawnictwo uskuteczni. Po upływie całego roku rzeczywiście regencya opolska zaczęła się w tej sprawie z nim układać, ale w sierpniu 1856 wydawanie tych dodatków, o ile je będzie uważała za potrzebne, znów sobie zastrzegła. W roku 1857 pięć numerów wyszło o bardzo szczupłej treści. Kiedy Kosicki się na to skarżył i pozwolił sobie robić różne propozycye, odwrotnie dostał szorstką odpowiedź, że żadną miarą nie mogą mu przyznać prawa do kontrolowania regencyi i że wszystkie dalsze podania jego w tej sprawie pójdą do kosza.

I tem nie dał się odstraszyć. Gdy mu minister na zażalenia jego nie odpowiadał, w roku 1859 zno-

wu prosto do księcia regenta się zwrócił i znowu rzecz w sejmie poruszył. Sejm coprawda nie uznał potrzeby wydawania polskich dodatków urzędowych na Górnym Śląsku, ale podanie do księcia regenta pomogło nareszcie. Albowiem dnia 12 marca 1859 ministerstwo spraw wewnętrznych powiadomiło Kosickiego, że na przyszłość regularnie co miesiąc będzie polski dodatek do »Amtsblattu« regencji opolskiej dodawany.

Tak więc dzielny opiekun ludu polskiego na Górnym Śląsku po wytrwałych zabiegach dopiął nareszcie swego. Ale zasługa jego nie wyczerpuje się na tem, że wyrobił przodkom naszym polskie pisemko urzędowe. Przedewszystkiem był ludowi naszemu wiernym obrońcą w ciężkich czasach, silną tarczą powstrzymującą wszystkie strzały nieprzyjacielskie; był mu orędownikiem wpływowym u możnych tego świata i poczytywał sobie za obowiązek wyjednać sprawiedliwość kopciuszkowi górnośląskiemu. Umierając w roku 1863 jako starzec 75-letni, mógł się pocieszyć myślą: Bonum certamen certavi! — Dobrą walkę walczyłem! — Uznanie, hołd i wdzięczność serdeczna należą się Kosickiemu za tak szczere ujmowanie się za naszą sprawą; niezależny, bogaty i wykształcony, zupełnie inaczej niż Lompa występował, który tylko po cichu śmiał pracować.

LITERATURA: v. Koschützki, Verhandlungen und authentische Aktenstücke betr. die Sprachenfrage in Preuss. Oberschlesien aus den Jahren 1839—1859. Tarnowitz o. J.

Die polnische Sprachfrage. Eine Zusammenstellung von dahin einschlagenden Aktenstücken und Journalartikeln. Leipzig, 1845. — Schlesische Provinzialblätter, 1844. — Karwowski, Polacy i język polski na Śląsku pod panowaniem pruskim. Poznań, 1910.

---

V.

## **Ks. Józef Szafranek, pierwszy obrońca języka polskiego w sejmie berlińskim.**

Rok 1848 był to rokiem rewolucyi w Europie. Wszędzie narody się podnosiły i żądały praw obywatelskich od rządów, samowładnie dotąd panujących. Była to prawdziwa wiosna ludów w historii, »obfita w zdarzenia, nadzieją brzemienna«. I w Niemczech wybuchły rozruchy konstytucyjne. Jak było na Górnym Śląsku? Na ogół błogi spokój nie został naruszony, bo lud za mało niestety jeszcze posiadał oświaty, aby mógł zrozumieć, o co chodzi; a pozatem należy pamiętać, że miał co dopiero za sobą ciężkie lata tyfusu i klęski głodowej. Po miastach tylko się jakoś ludzie ruszali, a Bytom stał się wtedy ogniskiem ruchu ludowego. Powstaje »Dziennik Górnośląski«, pierwsze pismo narodowe na Śląsku. Około niego skupia się szereg jednostek, mających dobro ludu na sercu, jak np. Józef Lompa. Duszą ich jednakowóż jest ówczesny proboszcz bytomski, ks. Józef Szafranek.

Ks. Józef Szafranek urodził się dnia 19 lutego 1807 r. w Gościęcinie w powiecie kozielskim jako syn młynarza. Świecenia kapłańskie odebrał w r. 1831, potem był kapelanem w Grzędzinie, kuratusem w Raciborzu, aż wreszcie w r. 1840 stał się proboszczem w Bytomiu. Rok 1848 wysunął go potem na czoło społeczeństwa górnośląskiego. Ks. Szafranek, to pierwszy poseł polski z Górnego Śląska! Powierzyły mu godność poselską dwa okręgi wyborcze: bytomski i żorski. Dnia 22 maja rozpoczęto w Berlinie posiedzenia t. zw. »zgromadzenia narodowego«, mającego obradować nad konstytucją dla państwa pruskiego. Wtedy to zawrzało w całym kraju jakby w ulę. Potworzyły się różne komitety, zawiązywały się — rzecz dotąd niesłychana — towarzystwa poli-

tyczne, odbywały się liczne posiedzenia i urządzano wiece ludowe, na których domagano się praw i swobód politycznych. Dzień 13-go czerwca roku 1848 widział u nas na Śląsku pierwszy wiec polski. Zjechali się do Bytomia deputowani ludu śląskiego, aby wyrazić swoje życzenia i żądania pod adresem tworzyć się mającego sejmu konstytucyjnego. Zadanie zastępowania w Berlinie tych praw ludu swojego przypadło ks. Szafranekowi. Zaszczycenie wywiązał się z niego poseł bytomski, który odrazu rozwinął w sejmie żywą działalność w obronie narodowości polskiej ludu śląskiego. W myśl owego wieca bytomskiego postawił on wniosek o przywrócenie prawa dla języka ojczystego w szkole i w urzędach na całym Śląsku polskim. Powołując się na uroczyste oświadczenie zgromadzenia narodowego we Frankfurcie z dnia 31. maja 1848 roku, że wszystkie szczepy na ziemiach związku niemieckiego zupełną mają mieć swobodę narodowego rozwoju i zażywać równouprawnienia językowego w kościele, szkolnictwie, literaturze, administracji wewnętrznej i sądownictwie, — ks. Szafranek w Berlinie żądał dla Górnego Śląska 1) aby jako dla niemieckiego tak też dla polskiego języka zagwarantowano swobodne używanie i pielęgnowanie w szkole; 2) żeby nieznanomość niemieckiego języka nie była przeszkodą do przyjęcia mandatu poselskiego lub przy koncesyi mistrzostwa rzemieślniczego; 3) by prawa, ukazy, rozporządzenia i oświadczenia urzędowe zawsze też po polsku były spisane i ogłaszane; 4) iżby nauka religii i elementarna w szkołach ludowych w okolicach przeważnie pol-

skich tylko w polskim języku się odbywała; w miejscowościach zaś dwujęzycznych należy obok niemieckich też polskie szkoły budować a w tych ostatnich dopiero na najwyższym stopniu zaczynać z nauką niemieczyny; 5) w sądownictwie mają pozwy, skargi, rozprawy, wyroki, protokoły i wogóle całe urzędowanie ustne i piśmienne dla każdego w ojczystym języku, dla Polaków więc po polsku, się odbywać; 6) w okolicach polskich tylko tacy urzędnicy mogą być ustanowieni, co polskim językiem dostatecznie władają; 7) dla wykształcenia takich urzędników należy natychmiast we wszystkich szkołach wyższych i gimnazyach jakoteż na wszechnicy wrocławskiej gruntowną naukę języka polskiego przyjąć na plan lekcyi a założyć także odpowiednie seminarya nauczycielskie; 8) prezydyum zgromadzenia narodowego powinno się starać na koszt państwa o natychmiastowe przetłómaczenie protokółów na język polski jakoteż o druk i rozdzielanie tych przekładów pomiędzy odnośnych posłów, aby polscy poddani równie jak niemieccy mogli się poinformować o działalności zgromadzenia a szczególnie swoich posłów.

Wniosek ten dnia 21 lipca 1848 r. stał na porządku obrad. Ale ponieważ obrady tylko żółwim krokiem postępowały naprzód, a wskutek tego nigdy nie zdołano załatwić programu dziennego, często go jeszcze przerywano sprawami nagłacemi, ks. Szafranek nie mógł się doczekać dyskusyi nad

swojem podaniem. Tymczasem przesłano mu petycye z powiatów bytomskiego, gliwickiego, lublinieckiego, raciborskiego, rybnickiego, pszczyńskiego, kozielskiego, oleskiego i strzeleckiego. Zarządy przeszło 200 gmin w imieniu pół miliona Polaków na Górnym Śląsku prosiły o prawną obronę ich języka ojczystego. Petycye te ks. Szafranek dnia 24 sierpnia podał zgromadzeniu i wznowił przytem swój wniosek, prosząc o pierwszeństwo dla niego na jednym z najbliższych posiedzeń. Lecz zgromadzenie odmówiło mu tej przysługi, odrzucając jego podanie do porządku obrad. Tak minął wrzesień i październik a zgromadzenie ciągle jeszcze nie doszło do wniosku ks. Szafranka, aż nareszcie w listopadzie zostało przez króla zamknięte a dnia 5-go grudnia zupełnie rozwiązane, nie wypowiedziawszy się wcale w kwestyi górnośląskiej. Nie podlega jednak żadnej wątpliwości, że wnioski ks. Szafranka byłyby przeszły; bo jeżeli kiedy, to właśnie wtenczas było u Niemców wyrozumienie dla praw i żądań narodowych. Żaden późniejszy parlament już tak rozsądnie nie myślał, jak frankfurckie zgromadzenie narodowe, które dnia 31 maja 1848 oświadczyło: »Niemcy odtąd zjednoczone i wolne, dosyć są wielkie i potężne, by móc szczepom innego języka, mieszkającym w granicach swoich bez ambicyi w pełnej mierze udzielić, co im natura i historia przyznaje, i nigdy ni Słowianin, ni po duńsku mówiący Szleswiczanie lub po włosku mówiący mieszkaniec południowych Niemiec, ni ktobądź inny obcego języka na ziemi niemieckiej nie będzie miał powodu się skarżyć na

upośledzenie swej narodowości albo że usuwa mu się braterska dłoń niemiecka, gdzieby jej było potrzeba.

W takim duchu rzeczywiście pracował na Górnym Śląsku od r. 1848 ks. radca Bogedain. Dlatego gdy w następnym roku powołano znów sejm pruski do Berlina, ks. Szafranek dnia 18 kwietnia 1849 już tylko uważał za potrzebne powtórzyć ósmy punkt swego wniosku, żądając, żeby ministerium sporządziło polskie tłumaczenie protokółów sejmowych w nakładzie 5000 egzemplarzy, aby posłowie je mogli przesłać wyborcom swoim do czytania. W uzasadnieniu powołał się ks. Szafranek na to, że lud polski wcale nie dowiaduje się, o czem jego posłowie obradują. W dalszym ciągu mowy wspomina o tem, jakto niedawno temu, gdy głód i tyfus trapiły ludność górnośląską, spieszono jej z wszech stron z pomocą; obecnie prosi on o chleb duchowy dla sześciu powiatów, które zastępuje, bo: »Macierzyńska mowa jest kluczem do wszelakiego moralnego i politycznego wychowania ludów«. (Pamiętne te słowa zacytował w języku polskim). Lud górnośląski, tak kończy swe wywody, dosyć się już nacierpiał głodu; czas najwyższy nadszedł, żeby po siedmiu chudych latach nastąpiło siedm lat tłustych dla niego!« Wniosek ten przeszedł.

Niemniej odważnie bronił poseł bytomski Górnoślązaków przed wyzyskiwaniem i obciążaniem przy ostatecznem uregulowaniu uwłaszczenia chłopów. Historyk niemiecki Reis otwarcie przyznaje, że ks. Szafranek znalazł bez wątpienia najprostszy sposób do rozwiązania całej kwestyi; zaproponował bowiem tenże odezwę, którą miało wydać zgromadzenie narodowe do wszystkich posiedzieli dóbr i dziedziców tej treści, że mają z patryo-

tyzmu w swoim i swych potomków imieniu na zawsze zrzec się na ręce zgromadzenia narodowego wszelkich praw do pańszczyzny. A gdy tego projektu jego nieprzyjęto, ks. Szafranek starał się usilnie, aby przynajmniej oszczędzano chłopów górnośląskich; »bo inaczej — powiada 5. grudnia 1849 r. — »przy prawach o zniesieniu pańszczyzny i uwłaszczeniu chłopów, bylibyśmy podobni do lekarzy, którzy choremu coprawda pomagają do zdrowia, ale za to tyle każą sobie płacić, że mu nic do życia nie zostaje.«

Z tego wszystkiego wynika, jak energicznie się zakrzytał w Berlinie poseł bytomski około dobra swoich wyborców. Należał on do ludowców, którzy żądali praw dla ludu i zasiadywali na lewicy. To się wielu nie podobało, a rząd na to zażalił się nawet u władzy kościelnej. Aby uniknąć kłopotów, książę - biskup Diepenbrock zakazał proboszczowi bytomskiemu nadal zasiadywać na lewicy. Ks. Szafranek, który dobrze wiedział, co ów zakaz spowodowało, usłuchał na słowo, ale niemniej słuchał sumienia swego. Już nigdy na lewicy nie z a s i a d y w a ł, lecz dalej z lewicą głosował, stojąc godzinami przy obradach. Śmiałością swoją zwrócił na siebie uwagę Bismarcka, który wtedy razem z nim posłował. W wielkiej mowie antypolskiej z dnia 28-go stycznia 1886 żelazny kanclerz wspomina też o ks. Szafranku, który zawsze na lewicy s t a w a ł, i powiada o nim: »Das war hier der erste polnische Ton für Oberschlesien«. Bismarck przypisywał ks. Szafrankowi bardzo wielki wpływ na rozwój narodowy Górnego Śląska. W pamiętnikach swoich »Gedanken und Erinnerungen« pisze: »Walke kulturalną rozpocząłem głównie z względu na jej stronę polską. Statystyka wykazała szybki postęp narodowości polskiej w Poznańskim i w Prusach Zachodnich, a na Górnym Śląsku lud do-

tań szczerze pruski (stramm preussisch) odpolszczył się. Szafranek, wybrany tam do sejmu, w języku polskim nauczał nas, że między Polakami a Niemcami zgoda jest niemożliwą. (?) Odpowiedzialność za takie stosunki ponosi jedynie wydział katolicki w ministerjum oświecenia. Wskutek zażalenia się rządu u księcia-biskupa zakazano księdzu Szafrankowi zasiadywać na ławicy; wtedy to ten silnie zbudowany ksiądz stał przed ławkami lewicy przez pięć do sześć, przy podwójnych posiedzeniach nawet aż do dziesięć godzin, nie potrzebując więc dopiero powstawać, gdy głos chciał zabierać do jakiegoś antyniemieckiego przemówienia«. Uszczypliwa ta charakterystyka ks. Szafranka przez żelaznego kanclerza — w oczach naszych jest oczywiście pochlebne świadectwem dla tegoż, bo widać z niej, jak dzielnie ten mąż nieustraszony broił w Berlinie sprawy ludu górnośląskiego. A że dobitnie i wymownie umiał przemawiać, poświadcza nam ks. Bączek, pisząc w »Górze Chełmskiej: »Szafranek jedrny mówca, w Berlinie niemify bratanek«.

Niestety ks. Szafranek tylko dwa lata zastępował jako poseł w Berlinie lud górnośląski. Był to czas wytężonej pracy osłodzonej nadzieją lepszej przyszłości — ale zarazem i przykrych zawodów. Jak boleśnie musiało go dotknąć, gdy w grudniu 1848 r. raz po raz oskarżano go we Wrocławiu o podburzanie do buntu, tak że książę-biskup Diepenbrock uwierzył nareszcie oszczercom i zasuspendował go! Naturalnie wykazała się prędko niewinność jego i z pewnym humorem pisał wtedy: »Skarżyciele moi jako wilcy syci, a baranek i Szafranek jest cały«. Tem gorliwiej oddał się odtąd duszpasterskiej pracy w rozległej wówczas parafii bytomskiej. Był dla trzody swojej kapłanem, nauczycielem i dobrodziejem. Za przykładem ks. Ficka zaprowadził w Byto-

miu bractwo trzeźwości i gorliwie w niem pracował. Może jako pierwszy na Górnym Śląsku, bo już od roku 1844, wydawał polskie kalendarze ludowe. Sprowadził do Bytomia Siostry Miłosierdzia i na utrzymanie ich sam 2700 talarów ofiarował. Był jednym z najpierwszych dobrodziejów kościoła piekarskiego, na którego budowę oprócz swojego datku w krótkim czasie przeszło 1000 talarów zebrał. Imieniny swoje święcił corocznie nadzwyczajną jałmużną, całemi godzinami rozdzielając bułki ubogim i dzieciom. Jego gorliwym zabiegiem zawdzięcza Bytom swoje gimnazyum, w roku 1867 otworzone, o które ks. Szafranek od roku 1842 niewustannie się starał. Aż do śmierci popierał plan odbudowania kościoła św. Trójcy, którego niestety już nie dożył. Jako duszpasterz parafii z ludnością językowo mieszaną ks. Szafranek był proboszczem sumiennie sprawiedliwym, który żadnej narodowości w kościele nie upośledzał. Gdy w roku 1844 po pierwszy raz wydał swój »Kalendarz postny«, wydał też zarazem niemiecki »Fastenkalender«. Układając potem śpiewniczek kościelny »Gottesdienstliche Lieder« (1846), umieścił w nim polskie i niemieckie pieśni. Gdy w r. 1852 względnie 1853 papież Pius IX dwóch męczenników z zakonu jezuickiego policzył w poczet błogosławionych, ks. Szafranek śpieszył się, zaznajomić swych parafian ze żywotami tych mężów świątobliwych. Byli to błog. Jan Britto, który w roku 1693 w Indyach poniósł śmierć męczeńską, nawróciwszy tam tysiące do wiary chrześcijańskiej, i błog. Andrzej z Boboli, apostoł unii, w roku 1657 od kozactwa na Polesiu zamordowany. W roku 1855 proboszcz bytomski po polsku i po niemiecku wydał krótki opis ich życia i męczeństwa. Ufundował nareszcie w gliwickiem gimnazyum stypendyum jako nagrodę dla dwóch uczniów pierwszej klasy za najlepszą pracę z nauki religii, z których jedna ma być w polskim, druga w niemieckim języku napisana.

Takim był proboszcz bytomski, ks. Józef Szafranek, pierwszy poseł polski z Górnego Śląska. Zaczynał ten mąż umierać w dniu 4. maja 1874 r., gdy już wrzała na całej linii walka kulturalna. Wtedy nie było można święcić należycie jego zasług. Nawet »Katolik« zadowolili się krótkim zapiskiem: »Ks. proboszcz Szafranek umarł, mąż wielce zasłużony w każdym względzie. Spokój jego duszy!« Tem więcej powinno pamiętać o nim obecne pokolenie, które przechodzi podobnie wielki czas, jakim był rok 1848. Powinno brać przykład z jego odwagi w obronie skarbów narodowych i śmiało żądać uznania dla języka ojczystego, tej drogiej po przodkach spuścizny. K. — S.

UWAGA: Rozprawa powyższa opiera się przeważnie na stenograficznych sprawozdaniach Zgromadzenia Narodowego i II Izby poselskiej w Berlinie i na „Dzienniku Górnośląskim” (1848/49).

## VI.

### **Ks. Bernard Bogedain, obrońca szkoły polskiej.**

Wspólnie z ks. Szafrankiem bronił ludu górnośląskiego w pierwszym sejmie pruskim mąż, który aczkolwiek sam Niemiec z rodu, serdecznie pokochał język polski i kulturę polską. Był nim ks. Bernard Bogedain, radca szkolny w Opolu, później biskup-sufragan we Wrocławiu. Pomiędzy obrońcami języka polskiego na Górnym Śląsku jemu należy się pierwsze miejsce.

Ks. Bogedain urodził się w Wróblinie pod Głogowem na Dolnym Śląsku, dnia 11-go września 1810 r., jako syn wiejskiej rodziny. Lata chłopięce spędził u stryja, ks. Zbigniewa, w cysterskim klasztorze w Obrze w Poznańskim. Wychowanie tu oczywiście było polskie; tutaj poznał i pokochał

polskość. Studya gimnazyalne odbył w Głogowie, a w r. 1831 udał się do Wrocławia, aby słuchać tam teologii św. Ukończył potem nauki teologiczne w seminarjum w Poznaniu, gdzie r. 1834 z rak ks. arcybiskupa Dunina otrzymał też święcenia kapłańskie. Jako wikaryusz pracuje potem w Grodzisku i w Bydgoszczy. Tutaj okazuje jako katecheta niepospolite zdolności pedagogiczne, dlatego już w r. 1837 otrzymuje posadę nauczyciela religii w seminarjum nauczycielskiem w Poznaniu, a w trzy lata później nominację na dyrektora seminarjum w Paradyżu. W mieście tem niemieckiem zakłada ochronkę dla sierót polskich. Cztery lata tylko pracuje na tej posadzie, bo już w r. 1844 przenosi się do Poznania jako radca szkolny przy regencyi królewskiej. W cztery lata znowu później 1848 roku przychodzi na Górny Śląsk do Opola, gdzie przez blisko 10 lat pracuje jako radca szkolny i główny inspektor szkół ludowych, niezmiernie zasługi pokładając około wychowania dziatwy szkolnej w języku ojczystym. Pierwszorządne znaczenie ks. Bogedaina dla nas na tem polega, że on jedyny, przynajmniej w szkolnictwie, wymierzał nam w całej pełni sprawiedliwość narodową. Sam gruntownie znając literaturę i język polski, gorliwie praeował na niwie oświaty ludowej. Aby lud pouczyć o sprawach politycznych i ostrzedz go przed niebezpieczeństwem religijnem — pamiętajmy, że to były burzliwe lata ruchów wolnościowych — zakłada (1849) dla niego tygodnik pod tytułem: »Gazeta polska dla ludu wiejskiego«. Ale po krótkim czasie spostrzeżga ze smutkiem, że lud mało czyta jego pismo. Zastanawiając się nad przyczyną tej niechęci ludu do czytania, dochodzi do przekonania, że winne temu są szkoły. Otóż tak pisze do pewnego księdza przyjaciela: »Lud górnośląski znajduje się w najsmut-

niejszem położeniu, a przyczyną tego są szkoły, które nie odpowiadają swemu przeznaczeniu. Dzieci czytają mechanicznie tak po polsku, jak i po niemiecku, nie rozumiejąc treści ani jednego, ani drugiego języka. Nie sprzeciwiam się, aby uczono języka niemieckiego, lecz przedewszystkiem nie zapominać, że tylko macierzyńskim językiem można mówić do serc i podnieść do Boga, jednym słowem — uszlachetnić człowieka. Podobne myśli rozwija (1850) w liście do swego przyjaciela, sławnego pedagoga Kellnera: »Chęć odebrania ludowi mowy ojczystej jest rzeczą niemądrą, niepolityczną i niewykonalną i to z następujących powodów: 1) Mowa ojczysta jest prawowitą własnością ludu a ściśle z nią związane są religia, zwyczaje i obyczaje. Wydzierając ludowi mowę ojczystą, przecina się wszystkie węzły, przytrzymujące w sercu zasady moralności. Narzucona obca mowa zatracą ścisłość i serdeczność pojęć religijnych, zatracą zwyczaje i dobre obyczaje ludu; 2) Szkoła jest zakładem do kształcenia ludzi za pomocą wiary i obyczajności, a nie zakładem do tresowania. Mowa ojczysta zaś jest w szkole tchnieniem wszystko ożywiającem«. Mądre to są i piękne słowa, które zasługują na to, aby się ich nauczyć wprost na pamięć, żeby się nimi posłużyć wobec każdego, co broni terazniejszego systemu szkolnego; są to słowa Niemca, który był gruntownym pedagogiem, a miał sumienie a rzadką miłością do prawdy się odznaczał!

Ale ksiądz Bogedain głosił takie zasady nie tylko z teorii. Będąc człowiekiem, któremu

wstrętną była wszelka połowiczność, dążył świadomie i z energią sobie właściwą do tego, aby wysunąć z szkoły na Górnym Śląsku system dwujęzyczności a uczynić ją o ile możliwości szczerze polską. Sposobność do wcieleńia tych zamiarów w czyn miał ksiądz Bogedain jako główny rewizor szkół ludowych. Wzysytując takowe, baczył przedewszystkiem na to, jak sprawa stoi z językiem polskim, czy nauczyciel nim dostatecznie włada; a umiał być pod tym względem krytykiem ostrym, w innym razie znowu nie szczędząc pochwały i zachęty, gdzie widział miłość do języka polskiego, jak np. u Karola Miarki. Ma się rozumieć, że nie wszystko osiągnął, do czego dążył — wszak ledwie 10 lat bawił na Górnym Śląsku — ale i w tym krótkim czasie zrobił dużo. Skarży się dlatego znany obrońca niemieckiej nauki dla dzieci polskich, ks. Rassek, w sławetnej broszurce niemieckiej: »Szkoła i Kościół we walce językowej w dzielnicach wschodnich«, że za jego czasów utorowano prasie polskiej drogi, bo: »lud teraz umiał i pragnął też czytać po polsku«. Nagana taka to zaszczyt dla ks. Bogedaina.

Rewidując szkoły, przekonał się o innej jeszcze smutnej sprawie, mianowicie jak bardzo był zaniedbany polski śpiew ludowy i kościelny. Będąc jeszcze dyrektorem seminaryum w Poznaniu, w roku 1844 był wydał śpiewnik z nutami pod tytułem: »Pieśni nabożne dla użytku katolików archidiecezyji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej«. Aby polepszyć również i na Śląsku śpiew kościelny, postarał się o wydanie chorału odpowiedniego. W spółce z uczniem swoim, Józefem Nachbarem, który był nauczycielem seminaryum w Paradyżu, wydał w r. 1856 »Chorał czyli dostateczny zbiór melodyi do przeszło 700

pieśni w języku polskim». W przedmowie pisze, że śpiewy nabożne ludu polskiego co do treści są płodem sztuki natchnionej żywą pobożnością, ich melodye zaś oznaczają się tem, że wierne trzymają się wzoru gregoryańskiego. Sławny muzyk Lipiński z Drezna, któremu przysłano egzemplarz, wyraził się o nim z wielkiem uznaniem. Jako rewizor szkolny ks. Bogedain już się postarał o to, że każdy organista używał jego »Chorału«. Tak więc wielce się zasłużył u nas również około śpiewu kościelnego w języku ojczystym ten zacny Niemiec, który w polskim śpiewie słusznie upatrywał potężny środek do uszlachetnienia ludu.

Dziesięć lat tylko, jak już poprzednio zaznaczono, trwał pobyt tego przyjaciela Polaków na Górnym Śląsku. Ale jak błogą była działalność jego i w tym tak krótkim czasie! Obrońcą chciał być szczerym tego ludu poniewieranego, dlatego w miarę sił pracował nad tem, żeby przywrócono mu jego prawa przyrodzone w szkole, wiedząc, że lud oddawając szkole najlepsze, co posiada, dziatwę swoją, spodziewa się po niej, że ją będzie kształciła i uszlachetniała, a nie wypaczała młodocianych umysłów pod tresurą fałszywego systemu wychowawczego. Ale nie dosyć na tem: i w życiu publicznem nie zawahał się ks. Bogedain zabierać głos w obronie ludu. Wiadomo nam już, że razem z ks. Szafrankiem był przez pewien czas posłem do sejmu pruskiego. Gdy dnia 18. kwietnia 1849 r. obradowano nad wnioskiem ks. Szafranka, który domagał się, żeby dla ludu górnośląskiego tłómaczono protokoły posiedzeń sejmowych na język polski, poparł go, a przy tej sposobności wypowiedział te piękne słowa: »Nałożyłem sobie jako zadanie życia, bronić przede wszystkim prawa ludu do języka swego. Górny Śląsk ma prawo spo-

dziewać się po mnie i żądać tego ode mnie, żebym tutaj dochodził uznania jego praw pod tym względem, a pielęgnował pierwiastki językowe, które tam w życiu ludowem kiełkują. Uważam to za najwyższe i najpiękniejsze zadanie mojej działalności urzędowej». Gdy się czyta to wspaniałe oświadczenie, mimowoli wrywa się z serca życzenie: o daj nam Boże znowu takich mężów na wysokiem stanowisku, czy to świeckiem czy kościelnem, którzy tak szlachetnie pojmują obowiązki swoje względem ludu naszego!

Na wiosnę roku 1858 opuszcza ks. radca Bogedain Górny Śląsk, otrzymawszy od ks. biskupa Förstera nominację na biskupa-sufragana we Wrocławiu. Z ciężkiem sercem, jak sam pisze, odchodzi od nas, z żalem szczerym go żegna Opole, cały lud górnośląski i duchowieństwo katolickie. Ale nie jest to pożegnanie na zawsze. Wszak jako biskup-sufragan przyjeżdża często-kroć na Górny Śląsk w celu udzielenia sakramentu bierzmowania. Wszędzie, gdzie się pokazuje dostojna jego postać, bywa z zapalem przyjętą przez poczciwy ludek górnośląski, który serdeczną miłością obdarza tych, którzy i jego kochają i bronią jego sprawy. Tylko pół trzecia roku ks. Bogedainowi pozwolił Bóg pracować na wysokiem tem stanowisku. W sile pełnego wieku męskiego przecięła nieublagana śmierć nitkę jego żywota: bawiąc znowu na Górnym Śląsku, mianowicie w Pszczynie, umarł nagle w nocy z 17 na 18-go września roku 1860. Tam też na cmentarzu kościoła św. Jadwigi pochowano jego śmiertelne szczątki wśród niezmiernego udziału ludu i duchowieństwa zblizka i zda-

leka. Tak odpoczywa sobie po boju doczesnym ten szlachetny obrońca Polaków na ziemi polskiej wśród Górnoszlązaków, których tak gorąco pokochał.

Szkoła polska dla dzieci polskich, to wielki ideał, który przyświecał ks. Bogedainowi przez całe życie. Nie zdołał go urzeczywistnić w zupełności, to przyznać musimy; i to jest prawdą, że runęło potem w walce kulturalnej dzieło jego, gdy regencya opolska rozporządzeniem z dnia 20-go września 1872 r. nakazała wyrugować ze szkół język polski, zostawiając mu skromne miejsce tylko w nauce religii na najniższym oddziale, a z biegiem czasu i ta resztką praw znikła. Ale posiew, rzucony przez ks. Bogedaina, nie poszedł na marne: szkoły ks. Bogedaina wychowały pokolenie, które w czasie walki kulturalnej tak pięknie i godnie umiało bronić sprawy katolicko-polskiej. A i do nas — wychowanków szkoły niemieckiej — woła niby z grobu cień jego: nie dajcie się, bo słuszną jest sprawa wasza! Dlatego też pomny nauk i przykładu swego szlachetnego przyjaciela, lud górnośląski nigdy nie zaprzestanie, czy to w gazetach zabierając głos, czy to wysyłając petycye do rządu, czy to przez usta posłów swoich, domagać się świętego prawa swego: szkoły polskiej! K.

## VII.

### **Rezultaty usiłowań górnośląskich.**

Ile razy rząd pruski zabierał się do wymierzania sprawiedliwości społeczeństwu polskiemu, zawsze tylko dla Księstwa Poznańskiego i Prus to uczynił, pomijając zupełnie milion Polaków na Gór-

nym Śląsku. Że i dla tej zapomnianej jak kopciuszek dzielnicy piastowskiej głośno żądali sprawiedliwości narodowej, wieczną zostanie zasługą mężów jak Richter, Lompa, Kosicki, Szafranek i Bogedain. Zobaczmy, co osiągnęli dla ludu polskiego na Górnym Śląsku.

Jeszcze w roku 1835 pisał Holenz (l. c. str. 18), że dopóki w szkołach górnośląskich będzie polska nauka, dopóty nauczyciele tam lichą będą musieli mówić polszczyzną, gdyż pod tym względem nie można przecież więcej od nich wymagać, aniżeli sami w szkole ludowej się nauczyli. »Chyba, że zapaleni miłośnicy języka polskiego stawiają śmieszne żądanie, by dla polskich szkół na Górnym Śląsku sprowadzano seminarystów z Królestwa Polskiego albo z Księstwa Poznańskiego, lub na Śląsku samym założono polskie seminarjum«. Tymczasem wskutek celowej i konsekwentnej pracy działaczy górnośląskich, wskutek nieustannego wpływania ich na opinię publiczną i zgrabnego wyzyskania okoliczności przychylnych zmieniły się zdania. Przypominamy, że właśnie wtedy przez całą nieomal Europę przechodziła fala rewolucyjna, niosąca narodom wolności i prawa. Było więc i dla polskich pragnień wszędzie wyrozumienie. Niemieckie zgromadzenie narodowe, które dnia 18 maja 1848 we Frankfurcie się zebrało, już dnia 31 maja 1848 r. uchwaliło uroczystą deklarację, iż szczepy nie mówiące po niemiecku a mieszkające na terytorium związkowym, mają używać w granicach swych etnograficznych zupełnego równouprawnienia. Na wniosek posła Tytusa Marka uchwalono ponownie przy obradach nad konstytucją związku, że »wszyskim szczepom nie mówiącym po niemiecku gwarantuje się w Niemczech swobodny rozwój narodowy, w szczególności zaś gwarantuje się im równouprawnienie

ich języka w granicach terytoryalnych tegoż w kościele, szkolnictwie, administracji wewnętrznej i w sądownictwie«. Postanowienie to jest zawarte w § 118 uchwalonej dnia 28 marca 1849 r. konstytucyi. Nie przeszła wprawdzie ta konstytucya frankfurcka nigdy w życie, lecz ów § 118 przeszedł w inne projekty ustawodawcze. Słusznie więc mógł pisać L u c y a n M a l i n o w s k i w »Zarysach życia ludowego na Śląsku« (Ateneum, 1877, tom 1/2): »Przekonanie o niedorzeczności i niemoralności zachcianek, dążących do wyrugowania języka polskiego jako wykładowego ze szkół górnośląskich, na początku drugiej połowy naszego stulecia stało się udziałem sfer rządowych i zawładnęło opinią publiczną«. Jako wyraz tej opinii przytacza Malinowski ustęp z czasopisma »Centralblatt für Schlesien« (1869, str. 303 nn.), który brzmi: »Nasi śląscy Polacy są Prusakami i to wiernymi Prusakami. Dla tego też powinni i pragną uczyć się po niemiecku. Że jednak cel ten nie powinien być osiągnięty bynajmniej drogą gwałtownej germanizacji szkół polskich, jest to, dzięki Bogu, głębokiem przekonaniem naszych władz szkolnych, jak również wszystkich poważnych i po chrześcijańsku myślących ludzi w kraju tutejszym«. Rzeczywiście od urzędowania ks. Bogedaina w Opolu, który w roku 1849 w sejmie pruskim uroczyście był przyrzekł, że za najwyższe i najpiękniejsze zadanie swojej działalności urzędowej uważać będzie, bronić prawa ludu do języka swego, i dochodzić uznania tego prawa, — aż do walki kulturalnej polski Górny Śląsk nie mógł się skarżyć na niesprawiedliwość.

Na przedstawienie Jana P u r k y n i e'g o, Czecha, sławnego profesora fizyologii przy uniwersytecie wrocławskim i zarazem założyciela (1836) Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego tamże, utworzył rząd w roku 1842 katedry języków

słowiańskich w Berlinie i we Wrocławiu, które istnieją do dziś. Tam akademicy polscy mają sposobność poznać dokładnie swój język ojczysty i piękności jego, mogą też czytać arcydzieła naszej literatury, mogą nareszcie badać dzieje języka polskiego i porównywać go z pokrewnymi językami słowiańskimi.

Za staraniem Lompy i Kosickiego, popartem przez kurję wrocławską, zaprowadził rząd w tym samym roku 1842 naukę języka polskiego w gimnazjach opolskiem i gliwickiem, a w następnym roku także w Nysie, gdzie niegdyś późniejsi królowie polscy Michał Korybut Wiśniowiecki (panował 1668—73) i Jan Sobieski (panował 1674—96) do szkoły uczęszczali. W r. 1856 otrzymały jeszcze gimnazya głubczyckie i raciborskie, a dwa lata później także głogowskie naukę języka polskiego. Nauka ta nie była coprawda obowiązkowa, tylko dowolna lub nadobowiązkowa, to znaczy, kto chciał się uczyć po polsku, miał do tego sposobność.

W roku 1844 na rozkaz ministra Eichhorna zaprowadzono w seminarjum nauczycielskiem w Głogówku obowiązkową naukę języka polskiego najprzód w dwóch, potem w czterech godzinach tygodniowo. Nie mniej przychylni Polakom byli następni ministrowie Ladenberg (1848—50), który rozporządził, aby w Głogówku polscy kandydaci mieli pierwszeństwo przed niemieckimi, i Raumer (1850—58), za którego czasów wogóle nie przyjmowano do seminarjum uczniów nie umiejących po polsku. Tak zostało aż do roku 1862; wtenczas to dyrektor Höcker i dwaj nauczyciele, nie znający języka polskiego, musieli urząd swój w Głogówku złożyć, a nowy dyrektor ks. Jüttner, zniósł nawet niemiecką szkółkę ćwiczeń (Uebungsschule) przy seminarjum, otwierając natomiast polską (1853). — W roku 1849 założono w Pyskowicach drugie ka-

tolickie seminaryum nauczycielskie na Górnym Śląsku, którego dyrektorem został Smolka. Na akcie uroczystym hrabia Strachwitz, ówczesny prezydent prowincyi śląskiej, zalecał uczniom, aby przedewszystkiem przykładali się do języka polskiego, który im będzie tak potrzebny w przyszłym zawodzie nauczycielskim. Podobnie i w Pilchowicach, trzecim górnośląskim zakładzie dla kształcenia nauczycieli (założonym 1867 r.), każdy uczeń musiał się ćwiczyć w języku polskim. — Protestantka ludność polska na Śląsku, której głównym ordynikiem i opiekunem był pastor Fiedler w Międzyborzu, otrzymała w roku 1851 we Wołczynie (Konstadt) ewangelicko - polskie proseminaryum, którego uczniowie po dwuletnim kursie przechodzili do niemieckiego seminaryum ewangelickiego w Ziębicach (Münsterberg), a w roku 1858 otworzono oprócz tego ewangelickie seminaryum w Kluczborku, również z obowiązkową nauką języka polskiego.

Przyszli nauczyciele górnośląscy musieli się teraz uczyć po polsku, gdyż od roku 1848, tj. od czasów ks. Bogedaina był u nas w szkołach ludowych wszędzie wykład polski. Co superintendent Holenz w roku 1835 nazywał śmiesznem żądaniem, mianowicie by dla polskiego Górnego Śląska założono polskie seminaryum nauczycielskie, stało się rzeczywistością, gdyż na wszystkich seminaryach naszych zaprowadzono obowiązkową naukę języka polskiego. Zjazd nauczycieli seminaryalnych, odbyty w roku 1848 w Berlinie, wyraźnie uchwalił, że gdzie tego potrzeba, seminarya tak mają być urządzone, by uczniowie mogli nabyć tam zupełnej wprawy i w drugim, nieniemieckim języku.

Że jedynie nauka w ojczystym języku odpowiada wymaganiom sprawiedliwości, wykazał ze szczególnem uwzględnieniem Górnego Śląska K.

Bischof w rozprawie: »Soll der Unterricht in der Volksschule in der Muttersprache erteilt werden? mit Rücksicht auf die Schulen polnischer Gegenden Schlesiens«. (»Schles. Prov. Blätter« 1849, tom 129). Autor jest za tem, by dalej na Górnym Śląsku rozszerzano znajomość języka niemieckiego, lecz bez gwałtu i bez krzywdy. Albowiem »kto sam kocha swój język ojczysty i ceni go jako drogi skarb po ojcach odziedziczony, łatwo zrozumie, że polscy bracia nasi gwałtowne rugowanie i gnębienie ich mowy ojczystej uważać muszą za niesprawiedliwość i niechętnie patrzą na tych, co ich dziatwę, najdroższy a czasem jedyny ich skarb tu na ziemi, wyłącznie po niemiecku uczą, i w nauczycielach żadną miarą nie mogą widzieć przyjaciół swych dzieci. Polskie gazety (Lompy!) na to wskazują i gwałtowną germanizacyę jako krzywdę przedstawiają, słusznie piętnując brak wychowawczych momentów w szkole ludowej. Byłoby pożądanem, wymierzyć tę sprawiedliwość polskim mieszkańcom naszej prowincyi«.

Na przedstawienie ks. Bogedaina regencya opolska w roku 1851, dnia 20 stycznia wydała okólnik do inspektorów szkół i nauczycieli, w którym gani niedostateczną znajomość języka polskiego u wielu nauczycieli. Samo się przez się rozumie, że udzielano też zawsze niemieckich lekcyi, aby dziecko poznało język państwowy; ale wykładowym językiem był wyłącznie polski. Szczególny nacisk kładziono na to, by nauka religii tylko w ojczystym odbywała się języku a żeby dzieci ćwiczyły się też w polskim śpiewie kościelnym. Wszak nawet Holenz, który jako pierwszy zalecał zupełne zniemczenie szkoły ludowej, był zrobił takie zastrzeżenie (l. c. str. 32): »Dopóki jeszcze będą gminy, którym polskie trzeba głosić kazania, dopóki nawet

większa część tylko członków takich gmin nie będzie zdolna do czerpania chrześcijańskiej nauki i budowania z niemieckiego nabożeństwa, dopóty też w tamtejszych szkołach trzeba będzie zważać na to, by dzieci po polsku uczyły się czytać i żeby nauka religii przynajmniej po części w polskim języku się udzielała».

Rozporządzeniem z dnia 14 lutego 1863 nakazała regencya naukę niemiecką zaczynać nie dopiero we wyższych klasach jak dotąd, ale już od drugiego półrocza szkolnego. Atoli nauka religii i ćwiczenia śpiewu kościelnego miały pozostać jedynie po polsku. Dosłownie tak pisze regencya: »Nauka religii w szkołach przeważnie polskich ma być tylko w polskim języku udzielana, bo jedynie język macierzyński może być odpowiednim środkiem do budowania najgłębszego życia wewnętrznego«. A dalej: »Śpiew jest rzeczą serca i uczucia; to też pierwsze teksty pieśni kościelnych i ludowych powinny być podane dzieciom w języku ojczystym, bo pieśni śpiewane w tym języku znajdują w sercu dzieci głębszy i radośniejszy oddźwięk i echo, aniżeli pieśni w bądźcobądź obcej im mowie niemieckiej«. Ta zasada ani podczas walki kulturalnej ani przez germanizację szkół ludowych nie straciła na trafności i słuszości.

Kończymy ten rozdział, przypominając słowa, które radca wrocławskiego konsystorza ewangelickiego Wachner na akcie uroczystym otwarcia ewangelickiego seminaryum w Kluczborku, dnia 30-go kwietnia 1858, powiedział. Zaznaczając doniosłość otwierającego się zakładu nazwał ów dzień dniem zadosyćuczynienia ze strony rządu pruskiego, który dotychczas był niesprawiedliwym dla polskich protestantów na Śląsku. Oto jego słowa: »Nasz lud polski ewangelicki, lud, którego poboż-

ność i sposób myślenia prawdziwie chrześcijański mógłby służyć za wzór niejednej gminie niemieckiej, lud wierny swemu królowi, daleki od wszelkich rewolucyjnych zachcianek; lud ten przez wiele dziesiątków lat był deptany i poniewierany. Dlatego też dzień dzisiejszy jest także dniem zadosyćuczynienia (ein Tag der Sühne); w tym bowiem zakładzie mają się kształcić nauczyciele, którzyby byli w stanie, wyklądać nie tylko po niemiecku, ale też w ojczystym języku tego ludu».

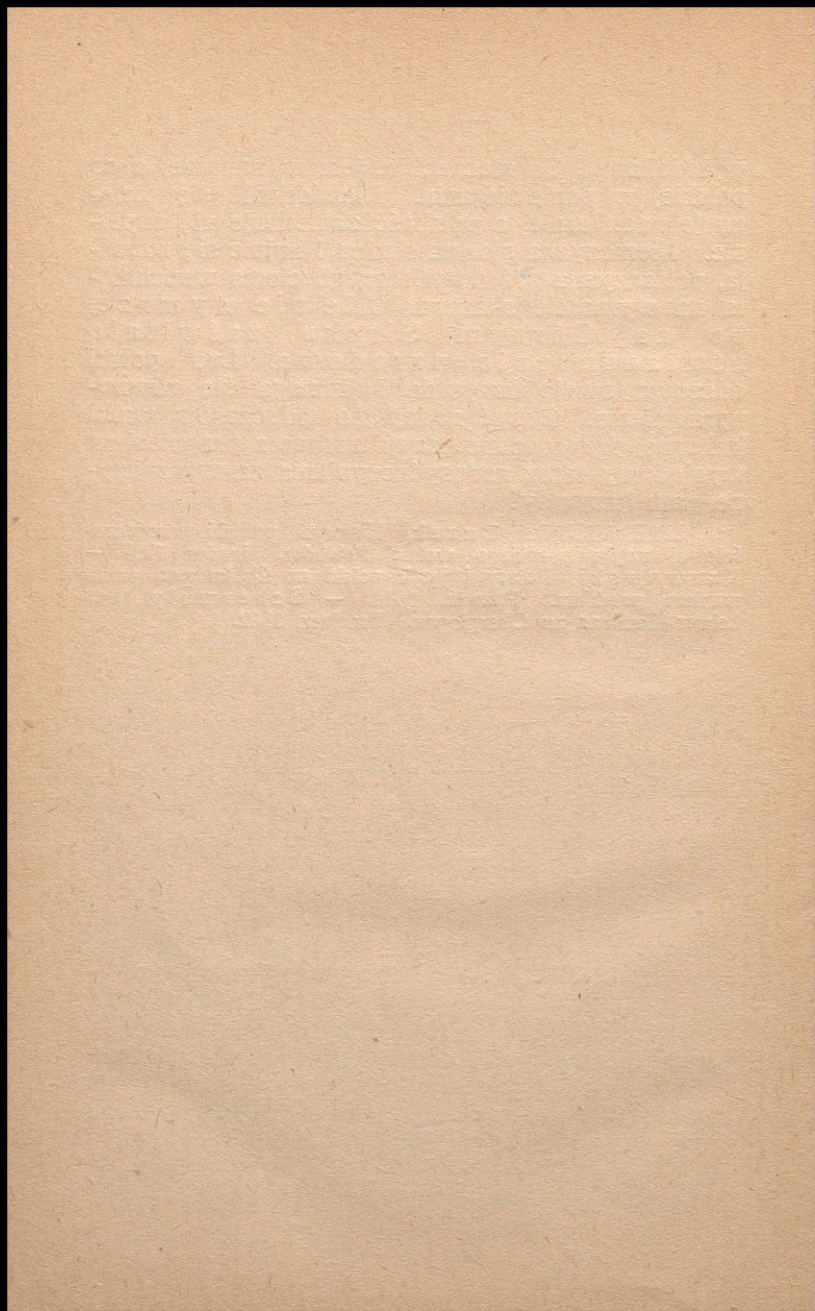
\* \* \*

Niestety czas zadosyćuczynienia prędko przeminął, bo rozporządzeniem regencyi opolskiej z dnia 20 września 1872 zniesiono dawniejsze rozporządzenia rozsądne i sprawiedliwe i zaprowadzono we wszystkich szkołach język niemiecki jako jedyny wykładowy. Było to skutkiem antypolskiej polityki księcia Bismarcka. Używanie języka polskiego zostało dopuszczone tylko w nauce religii na najniższym stopniu. Nie jakoby naraz się przekonano, że dla dzieci polskich szkoła niemiecka stosowniejsza niż polska, tylko »z wyższych względów państwowych — aus höheren Staatsrücksichten« usunięto wbrew wszelkiej pedagogice język ojczysty ze szkoły ludowej na Górnym Śląsku. Nad sprawiedliwością narodową, która w szkole przez parę dziesiątków lat dawała suum cuique — każdemu, co mu się należało, wzięła niestety górę zachłanność narodowa, która w imię fałszywie pojętego interesu państwowego chce zdusić i zupełnie wygubić język polski na Górnym Śląsku. Ta zachłanność niemiecka, znana powszechnie pod nazwą hakatyzmu, sprawiła biedę górnośląską, która na tem polega, że polska ludność tubylcza, aczkolwiek przeszło milion licząca, jest odciśnięta zupełnie od życia publicznego. Wołanie jej o sprawiedliwość dotąd nie

wysłuchane. Co niemieckie, jest w honorze, a co polskie, w poniewieraniu. Niemieckość się pielęgnuje nadmiernie, a polskość zaniedbuje się zupełnie. Niemczyzna stoi na słońcu i bujnie się rozwija, polszczyzna zaś do wiecznego cienia wepchnięta na wymarcie skazana. Ale nie wymrze, bo na Górnym Śląsku zaświtało uświadczenie narodowe. Lud polski odczuwa swoją krzywdę i domaga się równouprawnienia. Dostyc nadeptano od czasów walki kulturalnej przyrodzone prawa nasze; z pragnieniem wyglądamy teraz zadosyćuczynienia za wyrządzone nam krzywdy!

LITERATURA: Buzek, Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków. Lwów, 1909. — Karwowski, Polacy i język polski na Śląsku pod panowaniem pruskim. Poznań, 1910. — Schermuly, Das Lehrer-Seminar zu Oberglogau. Wrocław, 1902.

---



## TREŚĆ.

---

Wstęp . . . . .	3
I. Obrońcy Górnego Śląska polskiego za czasów pańszczyzny . . . . .	4
II. Po założeniu regencyi w Opolu (1816) . . . . .	12
III. Józef Lompa, pierwszy szerzyciel oświaty polskiej na Górnym Śląsku . . . . .	31
IV. Zabiegi Karola Kosickiego o równouprawienie językowe na Górnym Śląsku . . . . .	43
V. Ks. Józef Szafranek, pierwszy obrońca języka polskiego w sejmie berlińskim . . . . .	59
VI. Ks. Bernard Bogedain, obrońca szkoły polskiej . . . . .	67
VII. Rezultaty usiłowań górnośląskich . . . . .	73

---



# Towarzystwo oświaty na Śląsku imienia św. Jacka

poleca następujące książki:

1) Dla inteligencji:

*Włodzimierz Jasiński. Kościół a sfery inteligentne.* Włocławek 1916, (cena 2.50 M.)

*Na drogę życia.* Tamże 1916, (cena 4.00 M.)

*Maryan Morawski. Wieczory nad Lemanem.* Kraków, Przegląd powszechny, (cena 2.00 M.)

*Podstawy etyki i prawa.* Tamże, (cena 3.00 M.)

*Celowość w naturze.* Tamże, (cena 2.00 M.)

*Mohl. Listy do przyjaciela: W pogoni za prawdą.* Poznań, 1912/15, cztery tomy opr. 14.40 M. Jest to najlepsza apologia chrześcijaństwa w polskim języku!

*Wincenty Zakrzewski. Historia powszechna.* 3 tomy. Kraków 1913/16, (cena 9,20 K. opr.)

*Adamski. Patryotyzm. Nasze względem ojczyzny powinności.* Poznań 1917, Drukarnia św. Wojciecha, (cena 1.40 M.)

*Oraczeński. Jak się uczyć.* Metodyka pracy umysłowej. Warszawa, Arct, 1917, (cena 3.00 M.)

2) Dla wszystkich:

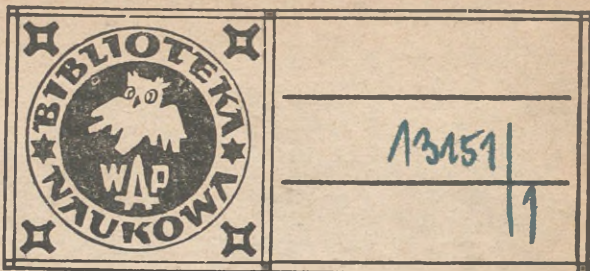
*Nowy Testament (1. Ewangelie i Dzieje Apostolskie)* przełożył *ks. prof. Władysław Szezepański.* Kraków 1917, (cena 2.00 M.)

*Psalterz Dawidowy,* dla użytku wiernych z Wulgaty na nowo przełożył *ks. Franciszek Albin Symon, arcybiskup.* Kraków 1917, opr. 3.50 M.

*Libelt. O miłości ojczyzny.* (Bibl. powszechna Zuckerkandla nr. 739/40) 0.40 M.

*Ks. K. Myśliwiec. O bogactwie i piękności polskiego języka Ślązaków.* Odbitka z »Gazety Opolskiej«, 1894, 0.20 M.

*Co każdy Ślązak z historyi swego kraju wie-dzieć powinien.* Tamże 1895, 0.20 M.



Fleka. Tamże 1914, 0.35 M.

Ludomir. O zbiorach pieśni ludowych na G. Śl.  
Tamże 1914, 0.20 M.

Ze Śląska polskiego. Książka zbiorowa. Opole,  
1917, 1.00 M.

3) Dla dzieci:

Elementarz polski. Bytom, Katolik lub Mikołów,  
Miarka, 0.30 M.

Dobry Staś. Książeczka dla dzieci, z obrazkami, Miko-  
łów, Miarka, 1911, 0.30 M.

## DRUGA CZĘŚĆ

### „W obronie polskości Górnego Śląska”

ukáže się w ciągu roku 1918 i obejmować będzie  
prawdopodobnie następujące rozprawy:

- I. Kościół katolicki a narodowość.
- II. Kurya wrocławska i język polski na Śląsku.
- III. Znaczenie i wartość języka polskiego na Gór-  
nym Śląsku.
- IV. Gazety w obronie języka polskiego na Śląsku.
- V. Karol Miarka, wskrzesiciel ludu polskiego na  
Śląsku.
- VI. Centrum w obronie ludu polskiego na Śląsku.
- VII. Poeci górnośląscy w obronie polskości Śląska.
- VIII. Zakończenie.